

Dawid Juraszek

W ludzkiej skórze

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

– W Yangyang nie znajdziesz noclegu.

Świsliwy głos dobywał się z jam między nielicznymi, krzywymi i żółtymi zębami.

– Dlaczegoż to? – mruknął Xiao Long, odchylając się mimowolnie; oddech ulicznego sprzedawcy tofu cuchnął zgnilizną. Albo tofu. – Zajazdów żadnych tu nie ma?

– Są, a jakże. Ale Święto Przepiórek się zaczyna, tylko raz na cztery lata wolno ptakom walczyć w mieście, więc ludzie pościgali tu aż z...

Starszy mężczyzna nie dokończył, bo stragan obległo nagle kilku wygłodniałych klientów, głośno domagających się wonnych specjalów. Otoczony przez cisnące się ciała Xiao podziękował i odwrócił się, wplatając w sznur przechodniów przeciągany ulicą od i do miejskiej bramy siłami rozbieżnych zamiarów, trosk i pragnień.

Kiedy bakałarz wkraczał był przed chwilą do Yangyang przez półkolistą Bramę Południową, myślał głównie o tym, czy starczy mu pieniędzy wyłącznie na nocleg, czy też jeszcze na jadło. Teraz znów wróciła obawa, która dręczyła go całą drogę przez duszne i parne wzgórza.

Gdzie będzie spał?

Podniósł głowę ku niebu ociążałemu od uwieszonych pod nim chmur. Leniwe sine brzuszyska napierały na dachy miasta, w każdej chwili grożąc ulewą. Gdyby nie to, zadowoliliby się kupą gałęzi na jakimś pagórku w pobliżu pierwszej lepszej wioski. Tylko perspektywa deszczowej nocy zagnała go w obręb murów obcego miasta.

Niskie drewniane domostwa po obu stronach ulicy wabiły szyldami, z których wiele obiecywało wygodny nocleg i smaczną strawę, ale ruch przy wejściach potwierdzał słowa sprzedawcy tofu. Mimo tego Xiao parł z ciżbą i wbrew niej ku centrum miasteczka, gdzie rozciągał się rozległy kompleks krytych granatową dachówką budynków – miejski jamen. Skoro już tu zawędrowałem... przekonywał niemrawo sam siebie, pozwalając nieść się kapryśnemu człowieczemu nurtowi.

– Przepiórki! Bitne a silne przepiórki! – rozdzierał się stojący pod jednym z domów wysoki chudzielec, potrząsając bambusowymi klateczkami, wewnątrz których kotłowały się istne burze piórowe. – Kto u mnie przepiórkę kupi, ten na turnieju niechybnie wygra!

– To czego sam się nie popróbujesz, cwaniacze jeden! – wrzasnął ktoś zza ucha Xiao i wybuchnął szyderyczym rechotem.

Bakałarz otrząsnął się i dał nura w bok; nie tyle dlatego, by ujść przenikliwemu głosowi szyderycy, ile po to, by wcisnąć się w wąską boczną uliczkę. W takich zaułkach znajdowały się nieraz najlichsze i najtańsze zajazdy; być może armia wyznawców Święta Przepiórek nie najechała jeszcze tych rejonów...

Rzeczywiście – za kolejnym zakrętem cuchnącej butwiejącym drewnem uliczki pojawił się wypłowiwały napis na desce, który głosił, że czytający stoi oto przed Pawilonem Spoczynku w Chmurach. W zasięgu wzroku nie było nikogo, tylko zza ścian domostw dobiegały pogłosy rodzinnych swarów. Xiao z nową nadzieją podszedł do zajazdu. Już miał wkroczyć do ciemnej sieni, gdy mrok zatrząsł się od tupotu. Bakałarz ledwo zdążył uskoczyć; na uliczkę wypadło kilkunastu mężczyzn w średnim wieku niosących klateczki z przepiórkami i popędziło ku głównej arterii.

Ten spoczynek to chyba w chmarach, pomyślał zdetonowany Xiao, ale wstąpił do środka. Po kilku krokach sień przeszła w półmroczne pomieszczenie, przedzielone na pół długim stołem. Siedzący za nim podstarzały mężczyzna w wymiętym czepcu podniósł wzrok znad rejestrów i zanim jeszcze gość – czy raczej intruz – zabrał głos, wtoczył rozmowę we właściwe koleiny.

– Miejsc pod dachem nie ma. Nawet sień cała zajęta. Możesz kupić miejsce pod zajazdem, ale nie odpowiadam za pogodę.

Xiao chciał prychnąć, ale zamiast tego zapytał z rezygnacją:

– Znajdę jeszcze gdzieś w mieście matę?

Gospodarz przyjrzał się przybyszowi, a potem ze szczerym chyba westchnieniem potrząsnął głową.

– Może tu i ówdzie pojedyncze kwatery, może jaki prywatny człek cię przyjmie, ale święto już dziś wieczorem, a na święto zawsze ściągają tłumy.

Bakałarz skinął i odwrócił się, ale mężczyzna stuknął w stół.

– Czekaj. Tylko nie śpij samowolnie gdzieś po ulicach, bo jeśli nawet rabusie cię nie ograbią, to pewnikiem nie ujdiesz strażnikom. Kup miejsce pod moimi drzwiami, dobrze radzę.

– Nie, dziękuję – mruknął Xiao i znów się odwrócił, ale mężczyzna i tym razem nie skończył.

– Skoroś taki, to ci coś rzeknę, bo widzę, że złamanego miedziaka nie masz. Na wzgórzach za miastem jest wielka rezydencja, opuszczona po pożarze, śpią tam tacy, co nie mają pieniędzy albo ochoty, żeby spać w mieście. Nie słyszałem, żeby kogoś tam obrabowano, bo i z czego.

– Jak tam trafić? – spytał bez przekonania bakałarz.

– Od Bramy Wschodniej traktem, potem przez most, będzie widać czerwone mury.

– Dziękuję.

Tym razem Xiao nie zdążył się odsunąć. W sieni zagrzmiął tupot stóp, wąskim przejściem przecisnęło się kilku rozemocjonowanych młodzieńców, hołubiących w ramionach klateczki z przepiórkami. Pewnie kupili u tamtego handlarza, pomyślał rozcierając potłuczone ramiona i wyszedł na uliczkę. Chwilę rozglądał się ponuro. Głupia sprawa taki nocleg, pomyślał. Ile trzeba zachodu, żeby bezpiecznie i zdrowo przetrwać jedną noc. Gdy się ma własny dom, to się tego nie docenia...

Zacisnął zęby.

– Od Bramy Wschodniej traktem, potem przez most – zamruczał i ruszył ku głównej ulicy.

Tłumy nie zdążyły się przerzedzić ani uspokoić; wręcz przeciwnie, zgęstniały i rozgorączkowały się jeszcze bardziej. Tyle zamętu z powodu głupich przepiórek, myślał Xiao patrząc na wrzaskliwe targi o pierzastych bojowników. Każdy chciał spróbować szczęścia, wystawiając własnego zawodnika albo obstawiając cudzego. Wszystkich rozpałała świadomość, że naczelnik miasta, a może i sam gubernator na pewno będzie chciał kupić zwycięskiego ptaka. Niektórzy nie mogli się doczekać rozpoczęcia turnieju: tu i ówdzie widać już było kręgi gapiowskich skupisk, ponad nachylone czepce i czupryny wyfruwały pióra mordujących się przepiórek. Gdyby to były walki świerszczy, Xiao chętnie rzuciłby okiem, ale pojedynki drobiu zawsze były w jego oczach mdłe jak kurze żeberka. Kto wie, może będę się musiał z tą pierzastą jatką przeprosić, żeby zarobić parę miedziaków, pomyślał kwaśno, dążąc do skrzyżowania, gdzie zamierował skręcić ku Bramie Wschodniej.

Wtem mieniącym się cielskim tłumem wstrząsnął dreszcz, a we wszechobecnym rozgwarze zabrzmiała inna nuta. Xiao dojrzał, jak coś – ktoś! – rozpruwa zastępy przechodniów, zygzakując przez ciżbę niczym wąż przez trawę.

– Song Ling znów szaleje – doszło bakałarza mruknięcie idącego obok mężczyzny.

– Kto to? – zdążył tylko spytać machinalnie, gdy prująca przez tłuszcz postać skręciła ku niemu. Przez mgnienie na wyciągnięcie ręki ujrzał skołtunione włosy, złachmaniony chałat, niemytą od dawna twarz i zdziczałe oczy. A potem mężczyzna znów skręcił i wpadł z tłumem w przecznicę, pędząc prawie nieludzkim, rozdygotanym biegiem w kierunku Bramy Zachodniej. Wkrótce tłum wchłonął go bez śladu.

– Uwierzyłbyś – zapytany mężczyzna dotknął ramienia bakałarza – że ten wariat to niegdysiejszy bogacz i wielki mędrzec? Jakże można upaść!

Xiao strząsnął nieprzyjemnie ściskającą go dłoń i nie odpowiedział. Odechciało mu się.

– A teraz tarza się po rynsztokach jak pies – parsknął niezrażony chłodem słuchacza mężczyzna. – To zwierzę w ludzkiej skórze. Ale nikt go nie tyka, bo i strach, i żal. Każdy by zdziaczał, gdyby sprzysięgły się przeciw niemu złowrogie moce.

– Każdy – powtórzył mrukliwie Xiao i pozwolił tłumowi ich rozdzielić.

Wznosząca się w perspektywie zatłoczonej ulicy Brama Wschodnia zdawała się uginać pod naporem ciężących nad nią chmur.

Stan mostu wołał o pomstę do Niebios. Niegdyś musiała być to solidna konstrukcja, ale teraz przez rzekę, wzdłuż której ku wschodowi sunął gościniec, prowadziły rozlazłe i splekane belki i deski, nadwyrężone najpewniej przyborem wód, po którym szkód nie miał kto naprawić. Po drugiej stronie między pagórki porośnięte sięgającymi kolan zaroślami zagłębiała się dróżka, wyraźnie zwężona niezmordowanym naporem trawy i chwastów. Okolice sprawiała wrażenie odludnej, nigdzie nie widniał nawet ślad po „wielkiej rezydencji”.

Xiao wstąpił niepewnie na belki. Toń rzeki była brunatna i stężała, tylko sunące leniwie tu i ówdzie żdźbła gnijących traw pozwalały poznać, że nurt nie ustał jeszcze całkiem pod naporem tłoczonych przez pokrywę chmur ku ziemi duchoty. Bakałarz nie trzymał się poręczy – z dwu ostała się tylko jedna, a i ta nie wzbudzała zaufania. Szedł wolno, ostrożny krok po ostrożnym kroku, w utrzymywaniu równowagi pomagając sobie wyciągniętymi rękoma. Podłoże chwiało się i chybotало, skrzypiąc i trzeszcząc złowieszczo. Do potu wyciskanego parnością nie spełniającej się wciąż burzy dołączył pot niepokoju i obawy; tłuste krople ściekały bakałarzowi po skroniach i nosie. Ale już był w połowie, już miał przed sobą mniej niż więcej, już nieomal czuł, jak stawia stopy na pewnym gruncie.

Naraz rozległ się trzask. Xiao poczuł, że lewą nogą zapada się między drzazgi złamanej nagle deski. Jęknął, gdy zębate krawędzie rozorały mu łydkę; brakło mu oddechu, gdy prawa stopa ujęta w szczeliny belek wykrzywiła się boleśnie. Ale tak szybko, jak zaczął, tak szybko i przestał się zapadać. Teraz musiał wydostać się z dziury, zanim cały most pójdzie w ślady zdradliwej deski i zawali się z hukiem do rzeki, wzbijając kurz i pył wodny.

Przechyliwszy się w przód i oparłszy na dłoniach, wyciągnął powoli nogę spomiędzy drzazg i kuśtykając pokonał resztę mostu. Ból nie kłamał – skóra pokryta była krwawymi szramami, z głębokiego cięcia na łydce czerwień lała się nad wyraz obficie. Klnąc w żywy nefryt, Xiao podwinął nogawkę i oderwawszy z postrzępionych spodni kawałek materii, obwiązał ranę. Dłuższą chwilę odpoczywał, wreszcie podniósł się i ruszył, ale po kilku krokach znów zaklął. Łydka rwała go przy każdym ruchu, domagając się spoczynku. A on musiał przed nocą przejść jeszcze nie wiedzieć jaki dystans, nim będzie mógł tego spoczynku zażyć.

Obejrzał się na trakt, ale do miasta nikt nie zmierzał. Zresztą, kto wioząc do miasta cenne przepiórki, pieniądze na zakłady albo po prostu towary, zatrzyma się przy rannym mężczyźnie wołającym pomocy z pobocza drogi? Z daleka pachniało to bandycką zasadzką.

Odetchnął głęboko i chciał na zimno przemyśleć położenie, gdy wtem gdzieś spomiędzy pagórków, w miejscu, gdzie od dróżki odrywała się ledwo widoczna ścieżka, wyłoniła się młoda dziewczyna.

– Hej! – zawołał z ulgą Xiao. – Czy ranny wędrowiec w potrzebie może liczyć na pomoc?

Zapytana zbliżyła się. Miała na sobie schludną sukienkę w prosty kwiatowy wzór, przez ciasno upięty kok przetkniętą rzeźbioną szpilę, a w dłoni niewielkie zawiniątko. Ładne oblicze okraszał życzliwy uśmiech. Tylko jej oczy zdały się bakałarzowi dziwnie znajome.

– Chętnie pomogę ci, panie – zaszczębiotała. – Dokąd zmierzasz?

– Do spalonej posiadłości – odparł, skwapliwie chwytając podane ramię. – Mówiono mi, że można tam przenocować.

– Ja też szukam noclegu – uśmiechnęła się jeszcze milej. – To daleko?

– Chciałbym wiedzieć! – syknął, stawiając z jej pomocą pierwsze sztywne kroki. – Wiem tylko, że to gdzieś w tych wzgórzach.

Chwilę szli w milczeniu. Kiedy ze wszystkich stron otoczyły ich pagórki, zasłaniając most i gościniec, Xiao poczuł nieprzyjemny dreszcz.

– Dokąd cię droga prowadzi? – rzucił, by wypełnić gęstą ciszę.

– Znikąd donikąd – odpowiedziała krótko, nie przestając rozciągać twarzy w uśmiechu.

– Nazywam się Mei. Mieszkałam w wiosce za górami u rodziny, która przygarnęła mnie, gdy zostałam sierotą, ale cierpiałam z ich rąk tak srodo, że musiałam odejść. Zastanawiałam się właśnie, czy zdążę dojść na noc do miasta, gdy z twych ust usłyszałam szczęsną nowinę o spalonej posiadłości.

– Zdążyć do miasta przed zmierzchem byłoby ci trudno – odparł niewyraźnie, zaciskając zęby przy co drugim kroku – a zresztą nie ma tam już żadnej wolnej maty.

– Dlaczego? – spytała, nie przestając się uśmiechać.

– Powinnaś o tym słyszeć. Rozpoczyna się Święto Przepiórek, ludzie ściągają do Yangyang z całej okolicy. W twojej wiosce się go nie obchodzi?

– Całe dni spędzałam na pracach domowych i w polu – uśmiechnęła się.

– Zatrzymajmy się na chwilę.

Xiao wsparł się na zdrowej nodze, pozwalając drugiej odpocząć, i podniósł głowę. Otaczające ich pagórki, powoli pogrążające się w wypełzającej z krzów i jarów szarości nadciągającego wieczoru, nie nosiły śladu uprawy, nigdzie też ponad falisty krajobraz nie wystrelił dach choćby najmniejszego pawilonu kontemplacji. Czy gdzieś tu rzeczywiście wznosiła się wielka rezydencja? Może Xiao źle zapamiętał słowa właściciela zajazdu? A może ów sobie zeń zażartował i wywiódł na manowce?

Słabym gestem nakazał podjęcie wędrówki. Szli w ponurym milczeniu, choć jego źródłem była tylko nachmurzona mina bakałarza; Mei nie przestawała się uśmiechać, choć powodów po temu Xiao nie widział żadnych. Albo taka optymistka, albo jakaś idiotka, pomyślał nagle i niepotrzebnie rozeźlony. Na końcu języka miał już pytanie, na czym polegało owo „srogie cierpienie” zadawane jej przez przybranych rodziców, gdy wtem zza najbliższego pagórka wyłonił się cel ich drogi.

Dziwnym kaprysem aury zachodzące słońce znalazło w grubej pokrywie chmur szczelinę dość szeroką, by oblać złocistym rumieniem długie czerwone mury wzniesionej na łagodnym stoku starej posiadłości. Ponad krawędź nie wystawały żadne dachy, choć na takim obszarze powinno zmieścić się co najmniej kilkanaście budynków. Wokół rozciągały się zarośla bardziej zmięzwione niż na sąsiednich pagórkach – znak, że posadzone przez człowieka rośliny zwarły się tu z dzikimi w powolnej, lecz morderczej wojnie o ziemię. Zirytowane owady uparcie beltwały zgęstniałe powietrze wieczoru. Xiao poczuł nieokreślony dreszcz.

Ruszyli drogą po stoku, niegdyś szeroką, a dziś zredukowaną do wąskiego koryta suchego teraz okresowego potoku, spragnionego, by powolne chmury zdecydowały się wreszcie zrzucić swoje brzemie. Mury stały coraz bliżej, ale i coraz trudniej było kuśtykającemu bakałarzowi podtrzymać wiarę, że to ma być owo popularne wśród co bardziej oszczędnych podróżnych nocne schronisko. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha, a same mury sprawiały wrażenie, jak gdyby okalały zachwaszczone pogorzelsko. I tak zapewne było – ale gdzie tu szukać noclegu?

Po wrotach ostały się tylko szerniałe odrzwia; drewniane elementy musiały doszczętnie spłonąć lub zerwano je na opał. Wewnątrz zaś rozpościerał się dziwnie tęskny krajobraz. Bo oto:

wypalony pień starego drzewa stoi pochylony w objęciach młodego zielonego krzewu
kwietne linie rysują pośród traw prostokąty fundamentów budowli, których ściany
dawno uleciały z dymem

mozaikowe dróżki i żwirkowe ścieżki odróżnia od otoczenia gęstość porastających je
zielsk

spod omszałej kamiennej tablicy z wyrytymi ideogramami siły i zdrowia sączy się wątry
strumyczek

rozległe zagłębienie porosłe bujniejszą niż gdzie indziej trawą i barwniejszym kwieciami
znaczy miejsce niegdysiejszego stawu

dwa rozległe acz niskie pawilony wznoszą ku gasnącemu niebu osmalone ściany
zakrzywione krawędzie ocalałych dachów rozpaczliwie czepiają się nabrzmiałych
chmur

– Czy tu w ogóle ktoś mieszka? – mruknął Xiao, na próżno wypatrując śladów ludzkiej
bytności. Ale w tej chwili z głębi rezydencji dobiegł zgrzyt metalu o kamień i czyjeś
niewyraźne głosy. Bakałarz spojrział na dziewczynę.

Uśmiechała się.

– Chodźmy – rzucił.

Kiedy kroki nowo przybyłych przeniknęły okopcone ściany domostw, z otworu
drzwiowego wyjrzała ku nim głowa o wysoko upiętych włosach. Na widok kulejącego
młodzieńca prowadzonego przez ładną dziewczynę zmieniła się w całą postać szczupłej
kobiety w skromnej sukni, z za której z przestraszoną ciekawością wyglądał mały chłopczyk.

– Witajcie! – zawołała przyjaźnie. – Będziecie tu nocować?

– Jeśli jest miejsce – odpowiedział Xiao i skinął głową.

– Jest, oczywiście. Macie coś do jedzenia?

Bakałarz spojrział na Mei, ale rozwiła jego nadzieje związane ze swoim zawiniątkiem.
Potrzęsła głową.

– Możemy zapłacić.

Mina kobiecie zrzędała.

– Pieniądzy do garnka nie nasypię. Ale zawsze można do zupy dolać wody. Chodźcie!

W środku panował wilgotny chłód i unosił się swąd spalenizny. Z półmrokiem walczyło
palenisko w bocznej salce, gdzie na trzech kamieniach obok kupki szerniałego drewna ze
zgliszczy bulgotał poobijany kociołek. Wnętrze, choć brudne i cuchnące, pozbawione
wszelkich mebli i odarte ze zdobień, wciąż mogło imponować harmonijną strukturą filarów,
belkowań i ścian. Kamienną podłogę pokrywał kurz, ale wystarczyłoby ją zmyć, by nie
powstydzili się jej dawny właściciele. To musiał być niegdyś reprezentacyjny pawilon.

– Dzieci, idźcie nazbierać jeszcze ziół i nałapać cykad! Zagęścimy zupę – uśmiechnęła
się kobieta i zamieszała patykami w pianistej brei. Chłopczyk wybiegł, a za nim jego
chowający się dotąd w cieniach młodszy braciszek.

– Jestem Xiao Long, a to Mei – załatwił spóźnione formalności bakałarz.

– A ja jestem Li, żona rodziny Wang. Chodźcie, przedstawię wam męża.

W sali obok, której ażurowe okiennice wpuszczały do środka pożegnalne blaski dnia, na
posłaniu z wyschłej trawy leżał mężczyzna. Pękata pierś unosiła się nieregularnie, z ust
dobywał świszczący oddech.

– Śpi – szepnęła kobieta i wycofała się na palcach. Z powrotem w kuchni spojrziała
strapiona na gości. – Idziemy do Yangyang ze wschodu. Mąż chorował od paru dni,
wieśniacy wskazali nam to miejsce.

– Nikt was nie podwiózł? – spytał Xiao, nie tyle z ciekawości, ile z chęci podtrzymania
rozmowy.

– Jakoś nie. – Wydęła wargi. – Wszyscy się śpieszyli.

– Święto Przepiórek – dopowiedział, kiwając głową.

Dzieciaki wróciły z nareczem liści i woreczkiem owadów. Nowe składniki na jeden moment ostudziły wrzenie odwaru.

– Ktoś tu jeszcze nocuje? – spytała uśmiechając się Mei.

– Tak – skinęła głową Li, krzątając się przy zupie. – Tu obok śpi mnich Drogi, ale wyszedł na łąki i jeszcze nie wrócił, a w drugim pawilonie koczuje jakiś obdartus, ale spokojny człowiek. Cieszę się, że i wy tu będziecie, zawsze to różnie. A skąd i dokąd zdążacie?

– Do Yangyang się wybieram – wyjaśnił krótko Xiao.

– Ja też – dodała wesoło Mei; widać i ona nie chciała zagłębiać się w szczegóły.

Zupa doszła wreszcie. Poza kociołkiem nie było żadnych naczyń, nabierali więc jadło przyniesionymi przez chłopców patyczkami. Li wzięła trochę dla męża, ale był chyba zbyt słaby nawet, by jeść, bo niebawem wróciła z ponurą miną i nietkniętą porcją. Wyglądniały Xiao wcinał pozbawione smaku liście, okraszone tu i ówdzie rozgotowanymi cykadami, jak gdyby były to kacze jęczyczki w sosie miodowo-paprykowym, dzieci siorbały głośno, śmiejąc się przy tym perliście, Li bez apetytu, ale metodycznie pochłaniała kolejne kęsy, i tylko Mei jadła bardzo oszczędnie, delektując się każdym najdrobniejszym kąskiem – albo brzydząc. Li mogłoby być przykro, gdyby zwróciła na to uwagę, ale całą zajęła jej troska o męża.

Kiedy w garnku została już tylko mętna woda, na dróżce zachrząściły kroki. Biesiadnicy spojrzeli ku drzwiom. Do środka wszedł młodzieniec w czarnej opończy.

– Zhang! – zawołała Li, wyginając brwi w smutny łuk. – Miałeś wrócić wcześniej, zaczęliśmy bez ciebie...

– Nie szkodzi, nie szkodzi – odparł wysokim głosem mniszek. – Uzbierałem sobie co nieco na polach, podgotuję i zjem. Nie przejmujcie się mną.

Xiao przełknął ostatni kęs, dał znak Mei i z trudem wstał.

– Dziękujemy gorąco za ten serdeczny poczęstunek. Przy najbliższej sposobności...

– Nie trzeba, nie trzeba. – Li też się podniosła. – Chodźcie, pokażę wam wolną salkę. Trochę podsuszanej trawy znajdziecie za domem...

Salka była nie tylko wolna, ale i całkiem pusta, jeśli nie liczyć walających się pod ścianami brudnych koców i resztek po poprzednich trawiastych podścieleniach. Okno wychodziło na dziedziniec, a raczej na placyk ograniczony po przeciwnej stronie zgliszczami drugiej części domu.

– Tam dalej znajdziecie trawę, o, tam.

Wyciągnęła rękę w bliżej nieokreślonym kierunku i wyszła bez słowa, jak gdyby całkowicie zaprzętnięta innymi sprawami. Xiao zawołał za nią jeszcze „dziękuję” i został sam na sam z Mei. Uśmiechała się.

Dlaczego? Po co?

– Chodźmy po tę trawę – zgrzytnął mimowolnie zębami i odwrócił się, nie czekając na dziewczynę. Zaraz jednak przystanął i gdy podeszła, chwycił ją za ramię. Wychodząc minęli kuchnię; mniszek wrzucał właśnie do gotującej się na nowo wody polne kwiaty i myszy. Ta jakaś niepoważna, ten tu cwaniak, na kogo ja trafiłem, pomyślał bakałarz.

Wyszedszy, bez ulgi wciągnął w płuca wieczorne powietrze. Duchota zdawała się gęstnieć wraz z mrokiem, a znikąd nie dochodziły echa dalekich grzmotów zwiastujących upragnioną burzę. Powoli okrążyli budynek, bez trudu trafiając na łąn zeschniętej trawy. Zamiast jednak wziąć się za zbieranie badyli, bakałarz kazał podprowadzić się do nieodległego muru w miejscu, gdzie przytykały doń zawalone fragmenty spalonego pawilonu. Tam stękając i zagryzając wargi, wspinał się i przerzucił skaleczoną nogę przez krawędź. Tym razem z ulgą wciągnął w nozdrza słaby, lecz ożywczy powiew.

– Narwij tam trawy – polecił dziewczynie nie odwracając się i spojrzął przed siebie.

Pod niebokręgiem napęczniałym od przechodzących w siny granat chmur, na tle gasnących zórz, mierzwiły się gruzłowate kształty Yangyang.

...pędzelek sunie przez bezkresną biel lekko niczym kaczką mandarynka przez bezbrzeżny błękit. Smugi wydobywają z nicości łuk kobiecych ust. Rozciągnięte w uśmiechu wargi rozchylają się i wypowiadają jedno słowo. Biel pozostaje nieruchoma, przez pustkę nie mknie żaden dźwięk, ale słowo to jest zrozumiałe w każdym języku świata, nawet w najzupelniejszej ciszy...

Xiao drgnął przez rwący się sen. Wizja spłynęła spod powiek, ustępując nijakiej czerni, ale czuł, że przeciwstawił się czemuś, że coś odtrącił, że powiedział nie – i że postąpił słusznie.

W tej chwili przypomniało mu się, gdzie jest – w salce nadwyręzonego ogniem pawilonu – i co robi – śpi na tej samej podłodze co Mei. Dziewczyna była atrakcyjna; kiedy kładli się spać, w jej uśmiechu doszukał się więcej niż tylko głupkowatej pogody ducha, ale nie potrafił wykrzesać z siebie choć krzty żaru. To jej usta śniłem, pomyślał leniwie. To jej zaproszeniu powiedziałem „nie”. Ale skąd ta malarska oprawa...

Wtem z zawieszenia między jawą a snem brutalnie wyrwał go krzyk, przeraźliwy, wibrujący krzyk wdzierający się przez zasłony przytępionych zmysłów w głąb nagiej duszy. Otworzył oczy i nie zobaczył nic, słyszał tylko wciąż ten wrzask, przechodzący teraz w skowyt, jakiś tumult, piski...

Dziecięce!

Wstrząsnął się, jak gdyby chcąc zrzucić z oczu, z głowy nieprzejrystą zasłonę. W tej chwili usłyszał za plecami kroki. Odwrócił się na drugi bok i pojął, że spał zwrócony w kąt; teraz patrzył w salę, na niewyraźną sylwetkę podchodzącą do okna. Okiennice zaskrzypiały przenikliwie, do wnętrza wlała się lekko tylko rozrzedzona ciemność pochmurnej nocy.

– Chodźmy! – szepnęła Mei.

Nie potrzebował słońca w zenicie, by dostrzec na jej twarzy niepewny uśmiech. Zerwał się niebacznie i jęknął z bólu. Sięgnął dłonią za plecy, do ukrytej w sprzączce pasa głowicy miecza i posykurując wyszedł niezgrabnie z sali.

Krzyk przycichł już, przechodząc w szloch rozdzierający już nie bębenki, lecz serce. Dochodził z sali, gdzie spała rodzina Wang. Czerń spłoszona światłem lampki olejnej krążyła natarczywie wokół postaci Li, kołyszącej się i łkającej nad ciałem męża; chłopcy przyłgnęli drżąc do pleców matki. Xiao podszedł ze ściśniętym gardłem.

Mężczyzna leżał na wznak. W jego klatce piersiowej zionęła czarniejsza niżli nocny mrok, okolona krwawymi strzępami chałatu, wyszarpana nie wiedzieć czym dziura.

– Co się tu... – wyjąkał ktoś od strony drzwi. Bakałarz odwrócił się i ujrzał mnicha. Zhang trzymał się oburącz za usta, pochłaniając straszliwy widok pełnym obrzydzenia wzrokiem.

– Co się tu stało? – dokończył zań pytanie Xiao, pochylając się nad Li i kładąc ręce na jej drżących spazmatycznie ramionach. – Kto to zrobił?

Wpierw zdawało się, że kobieta nie przestaje szlochać. Ale zanim bakałarz powtórzył pytanie, rozpoznał nagle w łkaniu urywane słowa. Li mówiła, połykając łzy i własny ból, przełamując opór owładniętego spazmem ciała, zmagając się z rozpaczliwym dygotem – ale mówiła.

– ...wszedł... patrzył... ludzka... zęby jak zwierz... nic nie mogłam... odepchnął... pazurami... krew... zjadł... zjadł... zjadł...

Powtarzała to słowo, kiwając się rytmicznie, jakby odmawiała modły przed posągiem bóstwa. A Xiao czuł mdlący ucisk w żołądku.

– Kto? – pytał, z całych sił powstrzymując drzenie w głosie. – Kto to zrobił?

Ale Li pograżyła się w swojej monotonnej powtarzance już na dobre. Szczupłe ramiona przestały drżeć, szloch przycichł, a spomiędzy wilgotnych od łez ust wydobywało się tylko to jedno słowo:

– ...zjadł... zjadł... zjadł...

Xiao wyprostował się i odwrócił.

– Mei, zabierz dzieci – szepnął do dziewczyny i kulejąc podszedł do drzwi, przy których wciąż jak wryty stał Zhang.

– Chodź – mruknął i nie czekając chwycił go za ramię; przeszli do sali obok. Tu panowała ciemność, w której ich twarze zmieniły się w maski utkane z szarości.

– Co to było? – spytał bakałarz.

Mnich zamrugnął i odjął dłonie od ust.

– Co? – wybąkał głucho, patrząc w zdumieniu na spowite w mrok oblicze Xiao.

– Co za bestia wypatroszyła Wanga?

– A skąd mam wiedzieć?

– Kto ma wiedzieć jak nie ty?

– Czego ty chcesz ode mnie?

– Żebyś coś zrobił.

– Nie zawracaj mi lutni!

– Jesteś mnichem, u lisa, czy nie?

Parsknięcie Zhanga zmieniło się w jęk, gdy rozeźlony nagle Xiao pchnął go na ścianę. Nadwątlona konstrukcja budynku zawtórowała głucho.

– Nie wiesz, kiedy wokół krąży złe? – syknął bakałarz prosto w twarz młodzika. – Co z ciebie za mnich!

– Nie jestem żadnym mnichem!

– Że co?

Zhang zaskakująco silnym ruchem wyrwał się z uścisku bakałarza i odskoczył na środek sali.

– To, coś usłyszał.

– To czemu zgrywasz mnicha?

– Nikogo nie zgrywam.

– Nosisz się, jakbyś był mnichem Drogi.

– Moja sprawa, jak się noszę, a twoja i w ogóle wasza, za kogo mnie bierzecie.

– Wiedziałem, żeś cwaniak – cmoknął Xiao – ale teraz widzę, żeś i oszust.

– Co mi tu gadasz... – warknął zniecierpliwionym głosem Zhang i ruszył do wyjścia.

Xiao zaświerzbiała ręka. Chętnie dzieliłby gnojka przez kark. Ale zdołał się powstrzymać. Ochłonawszy, przysunął się do okna i wyjrzał. Wschodnia strona nieba zdawała się lekko jaśnieć.

Wrócił do sali. Li nic już nie mówiła, łzy przestały wilżyć jej twarz, tylko wątlym ciałem wstrząsał niemy szloch. Mei tkwiła pod ścianą, trzymając za ramiona chłopców. Obaj stali jakby złęknieni, pociągając noskami.

– Zabierz ich do nas – przynaglił Mei bakałarz i podszedł do Li. Próbował ją podnieść, odciągnąć od straszliwego trupa, ale trwała przy mężu, ciężka jak głaz. Wreszcie dał za wygraną i wrócił do siebie.

Mei i tutaj stała, trzymając dzieci przy sobie. Starszy chłopczyk zachowywał się spokojnie, ale młodszy tarł pięściami oczy i chlipał cicho.

– Posadź ich na macie, a nie... – mruknął Xiao, patrząc zniecierpliwiony na dziewczynę.

Uśmiechała się dziwnie.

Jak gdyby chciała przestać, a nie mogła.

– Uciekł, zółwi syn!

Xiao stanął z Mei przy wejściu do sali Wangów i patrzył na zgarbione plecy Li. Świtało – przez okiennice i szpary w ścianach pawilonu wsączała się zimna bladość – a kobieta wciąż klęczała nad ciałem męża. Nie szlochała już jednak, nie kiwała się nawet, lecz trwała tylko, zgięta boleścią, nieruchoma, niepomna.

Długie chwile do brzasku bakałarz spędził rozmyślając, czy większym szaleństwem jest pozostawanie w domu, którego mieszkańcovi straszliwą śmierć zadały nieokreślone moce, czy też szukanie ucieczki przez wzgórze ku traktowi i miastu. Myśl o wybiegnięciu w czarną noc i narażeniu się na bandyckie noże czy tygrysie kły była mu na tyle wstrętna, że wybrał bierne czekanie na zbawieńczy dzień. A kiedy ten nadszedł, okazało się, że ktoś wybrał inaczej.

Po Zhangu nie został nawet tobołek – chłopak pozbierał rzeczy i zniknął, zanim jeszcze słońce rozświetliło zasnuwane chmurami niebo.

– Wracaj do dzieci – mruknął Xiao do Mei. – Weź je do kuchni, ugotujcie coś, choćby wodę z trawą.

Dziewczyna wyszła bez słowa. Bakałarz zdążył się już przyzwyczaić, że posłusznie wykonuje polecenia. Twardą szkołę musiała dostać od tamtej rodziny, pomyślał przelotnie. Tylko skąd ten ciągły uśmiech?

Ale to mniejsza; teraz musiał zająć się Li.

Podszedł i nachylił się. Odór rozwartego ciała i widok zionącej wyrwy wywoływały mdłości, ale zdzierzył i delikatnie ujął Li za ramiona.

– Chodźmy...

Nie poszła. Siedziała jak zakłeta, patrząc w zbiebiającą twarz męża, i tylko słabymi szarpnięciami odtrącała dłonie bakałarza. Dłuższą chwilę męczył się tak i zachodził w głowę; wreszcie zmienił taktykę i przemieściwszy się, nie bez obrzydzenia schwycił za ramiona trupa, by odsunąć go od pogrążonej w stuporze Li.

Poskutkowało; zwłoki spoczęły o krok dalej, a kobieta podniosła na Xiao wyłakane oczy.

– Chodźmy do dzieci ... – powiedział łagodnie.

Wkrótce kobieta siedziała już w kuchni, przytulając garnących się do niej synków. Mei mieszała kijem zimną breję w garze stojącym na dopiero nabierającym mocy ogniu. I odwracała twarz. Marszcząc brwi, zbliżył się i omal nie zaklął.

Ta wariatka znów się uśmiechała!

Z najwyższym trudem zmełł w ustach przekleństwo i odwrócił się do Li.

– Musimy uciec stąd jak najszybciej – powiedział tak spokojnie, jak umiał. – W mieście...

– Nie zostawię męża – przerwała kobieta. Spojrzał na nią zdumiony.

– Chcesz spędzić tu kolejną noc?

– Nie chcę – szepnęła wtulona w kosmate czupryny chłopców – ale męża nie zostawię.

– Przecież...

– Wiem!

Jej krzyk przez moment wibrował tą samą rozpaczą co w nocy. Dzieci rozjęczały się, ale nie uderzyły w płacz, jakby niepewne, czy można. Xiao umilkł i tylko patrzył wciąż w jej w półżywą twarz.

– Widziałam to – wyjąkała, spoglądając mu w oczy. – Widziałam to i wiem, co potrafi zrobić. Ale muszę zostać przy mężu! – wczepiła się wzrokiem w źrenice Xiao. – Proszę, zostańcie ze mną! Sama nie dam sobie rady...

Pochyliła głowę i zaszlochała.

Bakałarz podniósł bezradny wzrok na Mei i aż się zatrząsł. Ta kretynka uśmiechała się, wciąż się szczyrzyła, grymas nie schodził jej z ust nawet teraz! Zanim podszedł do niej, kilka razy głęboko odetchnął; dzięki temu udało mu się szepnąć jej do ucha całkiem spokojnie:

– Idź do miasta i sprowadź pomoc.

Popatrzyła nań z pytającym uśmiechem. Zacisnął powieki i zęby.

– Najpierw idź do jamenu – wycedził – i powiedz, że było morderstwo. Gdyby nie chcieli się zainteresować, znajdź jakiś klasztor i popytaj o mnichów, co znają się na czarowaniu. Rozumiesz? – Skinęła głową, przyglądając mu się bystro. – To idź! Albo nie, poczekaj. Muszę coś sprawdzić.

Wyszedł i ruszył powoli do sąsiedniego budynku. Pamiętał, że koczuje tam jakiś nędzarz; teraz wołał wiedzieć dokładnie, z kim ma do czynienia.

Ta część ocalałej rezydencji sprawiała jeszcze bardziej oplakane wrażenie. Budynek wyglądał, jakby zaraz miał się zawalić, wybujałe chwasty wplątywały się w dawno nie otwierane okiennice, pająki swobodnie rozsnuwały lepkie sieci. Xiao wszedł do środka i zmarszczył nos.

– Jest tu kto? – zawołał, patrząc uważnie pod nogi.

Zrazu odpowiedziała mu cisza, ale kiedy wstrzymał oddech, usłyszał szelest dochodzący z głębi budynku. Sięgnął dłonią do głowicy miecza i postąpił naprzód.

Nędzarz krył się w stercie traw i liści w kącie sali, próbując schronić się przed nieproszonym gościem. Sądząc po stanie ubioru i włosów, musiał koczować tu od dawna. Czym się żywił? Bo czymś na pewno; inaczej smród nie byłby tak dotkliwy.

– Dasz radę chodzić? – spytał Xiao. Znał prawdziwą odpowiedź, ale jakoś musiał zacząć.

Mężczyzna oczywiście pokręcił gorliwie głową.

– Przed wieczorem przyjdź do drugiego budynku – powiedział bakałarz zmęczonym głosem. – Samemu tej nocy może być niebezpiecznie. Chyba że wcześniej przyjedzie ktoś z miasta, to cię stąd zabiorą. Przynajmniej tak myślę.

Nędzarz patrzył nań chwilę, a potem z szelestem odgarnął liście.

Był nagi, a obie nogi przeżarte miał ohydnyimi liszajami.

Zdębiały – nie tyle kalectwem nędzarza, ile rozmiarami swojej pomyłki – Xiao pomyślał o dzieciach Wangów.

– Strzeż się – powiedział wreszcie i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Odprowadzał go szelest.

– Teraz idź – westchnął w kierunku Mei, kiedy wrócił do kuchni. Nie patrzył na jej twarz. Wyszła bez słowa.

– Możesz mówić otwarcie. Znam się na tym lepiej, niż myślisz.

Li spojrzała na bakałarza z wahaniem, ale i z nadzieją. Nie uśmiechnął się, tylko patrzył otwarcie w jej pełne smutku źrenice.

– Wiem, co to znaczy paść ofiarą upióra. Bo to był upiór, prawda?

Zagryzła wargi. Przez chwilę zdawało się, że po bladych policzkach już, już pociekną łzy. Ale ciemne oczy załśniły tylko przez chwilę.

– Tak! – wyrzuciła z siebie z pełną wstrętu ulgą.

Półmroczna kuchnia wchłonęła ciężkie słowo bez echa. A Xiao przeszedł dreszcz. Miał w życiu do czynienia z demoniczną stroną istnienia częściej, niżby chciał, ale oswojone wspomnienia to coś zgoła innego niż dzika rzeczywistość. Jeśli po posiadłości krążył ludożerczy demon... Spojrzył na chłopców drzemających u boku matki i przełknął ślinę.

– Jak wyglądał? – spytał, gdy milczenie stężało nieznośnie.

Ale cisza trwała dalej. Li nie patrzyła już na bakałarza. Oczy wciąż miała otwarte, lecz spoglądała teraz w głąb siebie, na fantom straszliwej sceny, która rozegrała się tak blisko, jak bliską jej osobą była ofiara.

– Nie mogę – szepnęła wreszcie. Tym razem po białych licach pociekły łzy. – Nie mogę... To zbyt...

– Dobrze, nie trzeba – pokiwał głową Xiao i wstał, by podejść do okna.

Późne popołudnie zataczało się pod naporem burzy. Burzy, która była o krok, o włos, a wciąż nie chciała się rozpętać. Owady przecinały kleiste powietrze z gniewnym bzygniem, dążąc w sobie nawet niewiadomych kierunkach. Chmury nie sunęły już w żółwym tempie pod niebem; wisiały nachalnie nad głowami i dachami, ociążały i odęte. Gdyby tak jakaś boginka z legendy podfrunęła pod nie z szydłem, gdyby w gęstej tkance siności wykłuła choć jedną dziurkę, nic nie zdołaloby już powstrzymać uwięzionego deszczu od ucieczki. Ale boginki miały inne sprawy na głowie – albo legendy kłamały.

Xiao uspokajał Li, ale za cenę własnego zdenerwowania. W jakiś dziwny sposób nieświadomość była gorsza niż najstraszniejszy nawet opis. Znał tylko okropny rezultat działań upiора – dość, by wyobraźnia zaczęła podsuwać własną wizję i interpretację wydarzeń. Wystarczyłoby kilka słów, by odnieść to do czegoś, zawęzić możliwości, przygotować się.

Ale nawet tych kilku słów nie usłyszał.

– Męża trzeba... – Drżący głos kobiety wdarł się w tok myślenia bakałarza. – Trzeba... – znów przerwała.

– Zaszyć – mruknął od okna.

Rzeczywiście. Zmarłego nie można było odesłać w zaświaty w tak opłakanym stanie, rozdartego, niezdolnego do sprawnego życia po życiu.

– Poczekajmy na ludzi z Yangyang – dodał, by uprzedzić ewentualną prośbę nie do spełnienia. – Odwiozą nas do miasta, tam będzie można wszystkim się zająć.

Znów cisza. Gdzie oni są, pomyślał gniewnie. Mei powinna już chyba dotrzeć do Yangyang i wrócić! Ale na razie był sam z załamaną kobietą, dwójką dzieci, niekomunikatywnym chorym obdartusem oraz straszliwie okaleczonymi zwłokami w ruderze pośród odludnych wzgórz. I to w nim ta kobieta z dziećmi, choć już nie obdartus i nie zwłoki, upatrywała obrońcy przed upiorem zdolnym rozedrzeć człowieka w pół i zjeść jego serce.

W wypełnionej tylko ksykaniem owadów ciszy odgłos kroków na żwirze dróżki rozległ się z bolesną wyraznością. Xiao i Li wymienili spojrzenia.

– Sprawdź – rzucił bakałarz i wyszedł tak szybko, jak mu na to pozwalała rwąca łydka. Opuszczając budynek, wypatrywał niecierpliwie nadchodzących. Urzędnicy? mnisi?... mknęło mu przez głowę.

Mei.

Sama.

Zmrużył oczy, próbując odczytać wyraz jej twarzy. Uśmiechała się. Ale to mogło znaczyć wszystko.

– Przyprowadziłaś kogo? – zapytał, gdy zbliżyła się na kilkanaście kroków.

– Nie udało mi się – rozłożyła ręce przepraszająco.

– Jak to? – podniósł głos. – Mnisi też nie chcieli przyjść?

Zatrzymała się przed nim.

– Nie udało mi się dotrzeć do miasta.

– Czemu? Co się stało? – wbił w nią pełen niedowierzania wzrok.

– Most się zerwał – wyjaśniła spokojnie. – Cały dzień próbowałam przejść, ale nie udało mi się.

Spojrzał po niej. Buciki i sukienkę miała ubłocone, na dłoniach czerwone ślady gliny.

– I nikogo nie widziałaś? – spytał z niedowierzaniem. – Nikt nie szedł gościńcem? Nie mogłaś zawołać?

– Jechało kilka wozów, ale żaden się nie zatrzymał. A po południu to już droga całkiem opustoszała, więc wróciłam.

Jej uśmiech był rozbijający. Ale mędrcy nie bez kozery głoszą, że za niejednym uśmiechem kryje się sztylet. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem obróciwszy się, wszedł z powrotem do budynku.

Dzieci pobudziły się z popołudniowej drzemki, młodszy chłopczyk marudził trąc oczy, starszy wygrzebywał coś z ostygniętego kotła. Li spojrzała na wchodzących z nadzieją.

– Niestety – powiedział po prostu Xiao i usiadł pod oknem.

– Co się stało? – pytała Li, przeskakując przestraszonym wzrokiem z jednego na drugie.

Mei powtórzyła swą relację. W miarę jak płynęły jej beznamiętne słowa, twarz Li ściągała się coraz bardziej. Wreszcie kobieta spuściła głowę.

Xiao niewidzącym wzrokiem wędrował po szparach w podłodze. Mógł sam podjąć się powiadomienia miasta; być może zdążyłby przed zmrokiem pokonać rzekę, a na gościńcu już potrafiłby zainteresować sobą jakiś powóz. Ale zraniona noga spowalniałaby go, a Li nie zechce go puścić. Mogli wszyscy ruszyć ku rzece, wlokąc ciało na prowizorycznych noszach; ale Li się nie zgodzi, zmrok na pewno złapie ich jeszcze pośród wzgórz, no i jak pokonają rzekę? Mogli wreszcie spróbować przetrwać jeszcze jedną noc wszyscy razem w jednej sali. Ale czym się obronią? Czym choćby zabarykadują?

Po co było mi tu przyłączyć, pomyślał, zły na samego siebie. Po co było mi troszczyć się o tych ludzi jak o własną rodzinę. Nic mi po nich. Mógłbym już dawno...

– Nie zostawiajcie nas – wyjąkała nagle Li, podnosząc głowę. Twarz miała suchą, ale nie trzeba było łez, by złościła ją rozpacz. – Nie zostawiajcie, błagam.

Xiao zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zdało mu się, że tymczasem słońce zdążyło zajść, a do kuchni wlał się zimny mrok nadciągającego nieubłaganie wieczoru.

– Zostajemy tutaj – zakomenderował głośno i wstał. – Mei, przynieś opał i lampki z pozostałych izb. Im więcej światła, tym lepiej.

Li spojrzała nań z wdzięcznością.

– A my co możemy zrobić? – spytała.

– Niech nzebierają kamyków z dróżki – uśmiechnął się, wskazując chłopców. – Rozsypimy je po podłodze.

Kiedy został sam, sięgnął po miecz. Giętkie ostrze gładko wysunęło się z pasa i wyprostowało z cichym jękiem. Przeciągnął palcem po smukłej klindze.

Przynajmniej tyle.

...nawet jeśli jamen nie zajmie się morderstwem, znajdą się mnisi, którzy za dobre słowo pomogą w pochówku albo spalaniu. I tyle. Ja pójdę w swoją stronę, kiedy tylko przekroczymy bramy Yangyang. Obym zdążył jeszcze na walki przepiórek...

Z zamyślenia wyrwał Xiao dźwięk. Nie, nie ostrzegawczy chrobot kamyków rozspanych na podłodze, a subtelna zmiana w odgłosach wypełniających kuchnię. Ogniki lampek pełgały, dobywając z ciemności zwinięte sylwetki śpiących. Bo spali już wszyscy – prócz bakalarza.

Pierwsza, jeszcze przed dziećmi, zasnęła Mei. Jej spokojny, równomierny oddech zdumiewał zrazu i drażnił w wypełniającej pomieszczenie atmosferze napięcia. Potem jeden po drugim zasnęli chłopcy. Xiao siedział naprzeciw drzwi z mieczem w dłoni, Li leżała pod ścianą z oczyma wbitymi w belki sufitu. Nie wymieniali spojrzeń, ale oboje byli świadomi swej czujnej obecności. Przewartowali tak długie godziny głuchej nocy. A teraz, kiedy

bakałarz zaczynał przeczuwać, że niebawem zacznie dzień, i rozluźnił się trochę, oddech Li spowolniał i wyrównał się. Sterana udęką ostatniej doby kobieta poddała się snowi.

A Xiao został sam.

Zmęczenie i senność uleciały od razu. Teraz na nim spoczywała cała odpowiedzialność za odkrycie w porę zbliżającego się upiora. Mógłby wprowadzić obudzić Li albo Mei; co dwie pary uszu i oczu, to nie jedna. Ale nie uczynił tego. W zamian wyprostował się i poprawił miecz w dłoni. Do świtu było już niedaleko, wtedy będą bezpieczni.

Ale czy na pewno?

Bakałarz stropił się. Przecież upiory atakowały o każdej porze dnia. Zesłonocna napaść mogła być przypadkiem...

– Niech Niebiosa runą i przygniotą wszystko – mruknął pod nosem i zaraz umilkł, śledząc bacznie, czy kogoś nie obudził. Ale nie; jego zirytowany szept był zbyt cichy, by wywlec udęczone umysły z mroków niepamięci na ostre światło rzeczywistości.

Ile takie święto może trwać? podjął przerwany tok myśli. Dwa, trzy dni? Gdyby zdążyć choć na ostatnie walki, gdyby szczęśliwie obstawić, wygrać...

Błysnęły śnieżnobiałe sztabki srebra. Przymknął oczy. Niektórzy dorabiali się całkiem zgrabnych sumek na obstawianiu walk świerszczy, przepiórek czy koni. Nie były to wprawdzie fortuny dorównujące tym, które można było zdobyć wystawiając do walki własnego zawodnika, a następnie sprzedając go bogatemu miłośnikowi sportu, ale na potrzeby Xiao wystarczające z nawiązką. Jeśli wygra, pójdzie się najeść do przyzwoitej gospody, kupi nowe szaty, wyśpi się porządnie... Ale będę potrzebował bardzo dużo szczęścia, skarcił się w myślach. Trzeba było bardziej interesować się przepiórkami...

Drgnął. W ostatniej chwili, na krawędzi pełnego snu, ocknął się z rozmarzonej drzemki. Zasnąłem! krzyknął w myślach. Ale w tym momencie inny, rzeczywisty wrzask rozdarł ciemność i ciszę.

– Nie, nie... – jęknął i otworzył sklezione powieki.

– Jest!!! – krzyknęła Mei.

Xiao zerwał się i przyskoczył z mieczem do stojącej na środku sali dziewczyny.

– Gdzie?? – wybełkotał, patrząc w wykrzywioną dziwacznym grymasem twarz Mei.

– W drugim budynku! – jęknęła i wskazała ręką za siebie.

Bakałarz oblizał spierzchnięte wargi i powodowany nagłym impulsem skoczył w ciemność roztaczającą się za falującym kręgiem wątłego światła lampek. O mało co nie wyrzucił się na zdradliwym żwirku, a już po kilku krokach wiedział, że nie powinien tak biec w nieznaną, niewiadomą i niewidzianą. Coś jednak zabroniło mu wracać. Biegł więc na pamięć, przemierzając po ciemku drogę równoległą z jej dziennym wspomnieniem, próbując ignorować ból zranionej łydki. Kiedy wybiegł na zewnątrz, ujrzał, że niebo na wschodzie już szarzeje.

Do budynku zamieszkałego przez nędzarza wszedł powoli, kurczowo trzymając miecz. W nozdrza uderzył go odór.

Krwi.

I już wiedział, że nie musi pytać, czy ktoś tu jest.

Wycofał się ostrożnie, nagle dziwnie spokojny. Zamiast niewiadomej był oto kolejny trup. I zapewne czas do nocy, nim upiór upomni się o kolejną ofiarę.

Kiedy wrócił do kuchni, chorowity blask lampek mieszał się już z bladą szarością kolejnego pochmurnego świtu. Mei wtykała pod gar nadwęglone szczapy, chłopcy przestraszeni tulili się do siebie, a Li...

...Li nie było.

– Gdzie Li? – spytał.

– Poszła do męża – odpowiedziała Mei z szerokim uśmiechem.

Fala gorąca przebiegła ciało bakałarza. Tego już nie mógł zdzierżyć.

– Jeszcze się śmiejesz??? – ryknął. – Do męża poszła? Co to jest?! Co to ma być?! Na głowę ci sagan z ryżem upadł? Co ty w ogóle wygadujesz? Czego się wciąż śmiejesz?? Duchy ci we łbie zamieszały, że nie wiesz, małego brudna, kiedy się śmiać? W tej chwili przestań się szczerzyć! W tej chwili!!

Oczy Mei pociemniały, twarz zbladła, ale jej usta wciąż wykrzywiały się tym nieznośnym, nienawistnym, niestosownym grymasem. Xiao czuł, że zaraz go rozsadzi. Już otwierał usta, by zrugać ją jeszcze głośniejszym, gdy chłopcy uderzyli w bek. To wystarczyło, by bakałarz zmienić zdanie.

– Wynoś się – warknął.

Mei wstała i wyszła bez słowa.

Nie przestając się uśmiechać.

Odetchnął głęboko i pochylił się ku mażącym się dzieciom.

– Chodźcie do mamy – szepnął i wzięwszy obu na ręce, przeszedł do drugiej sali.

Ale zaraz na progu postawił ich na ziemię i wysunął się naprzód, zasłaniając im widok.

Widok nie dla dzieci.

Li klęczała nad ciałem męża w postawie pełnej żalu, pokory i szacunku. Ale jej ręce raz za razem sięgały w głąb rozdartego ciała i wyrzucały na podłogę krwawe strzępy.

– Co ty robisz! – sapnął Xiao i podbiegł. – Przecież okaleczysz jego ducha!

Podniosła wzrok, raz i drugi otworzyła usta, ale milczała. Wyraz jej oczu był wystarczająco wymowny.

Xiao dostrzegł w nich szaleństwo.

– Zostaw, poczekaj... – wyjąkał niepewnie. Lepiej milczeć, lepiej nic nie robić... myślał, błagając Li wzrokiem, by nie wpadła w szał. Kiedy wreszcie obróciła się z powrotem do trupa, wycofał się cicho.

Dzieci czekały grzecznie pod salą, jakby świadome powagi sytuacji.

– Usiądźcie sobie tutaj – wskazał ścianę kuchni, siląc się na spokojny głos – i bawcie się ładnie. Wujek zaraz wróci. Dobrze?

Chłopcy pokiwali głowami. Przywołał na usta uśmiech i wyszedł szybkim krokiem.

Żałował teraz, że obrugał Mei jak burą pandę. Dziewczyna śmiała się niczym ostatnia kretynka, ale poza tym była w porządku. Trzeba ją będzie przeprosić. Bez niej nie wyobrażał sobie wyprowadzenia ze wzgórz Li oraz dzieci.

Bo innego wyjścia nie było.

– Kazałem jej się wynosić; jeśli potraktowała to poważnie... – mruzczał do siebie, obchodząc sale pawilonu. Nie chciał wołać. Nie ze strachu przed upiorem, choć istotnie ze strachu: strachu przed wyrwaniem Li ze stanu tego osobliwie opanowanego szału, a może przed zwróceniem uwagi chłopców, którzy gotowi byli pod byle pretekstem albo i bez niego opuścić kuchnię. Poza tym nie mógłby chyba jeszcze się przemóc i wołać dziewczynę łagodnie po imieniu tuż po tym, jak wykrzykiwał pod jej adresem obelgi.

Budynek był pusty. Może uciekła, pomyślał nagle zalękniony. Ale nie przypominał sobie, by do jego uszu doszedł chrobot żwiru na dróżce. Musiała kręcić się po trawie albo siedzieć w drugim budynku.

Światła przesączało się już przez odrętwiałe chmury dość, by ukazać oczom Xiao to, co dotąd wyczuwał tylko zmysłem powonienia. Ale myśl o tym, że ujrzy okrutnie rozdarte ciało nędzara napawała go obrzydzeniem. Próbował się przełamać, gdy wtem wpadł na inny pomysł i ruszył wzdłuż ściany rozsypującego się budynku, zaglądając po drodze przez ażurowe okiennice.

We wnętrzach panował zastygły mrok, stawiający wciąż opór ociężałe rodzącemu się dniowi. Dopiero w ostatniej sali, której ściany przeorała swymi płomiennymi pazurami pożoga, bakałarz dojrzał ruch. Już miał zawołać, gdy tknięty przeczuciem zmilczał i postąpił krok od okna, by wejrzeć do środka przez wypaloną między deskami szparę.

Serce stanęło mu w piersi. Oto bowiem, co ujrzał:
plamiasta szarość kłębi się pod naporem zmęczonych promieni słońca
chowa się w kątach, oddawszy pola na środku sali
gdzie majaczy ludzka sylwetka z nieludzkiej tkanki zbudowana
o cienkich kończynach okręconych węzlastymi mięskami
płaskim zielonym obliczu
mlecznych oczach
długich czarnych szponach
i zębach trójkątnych jak na pile
upiór kłęka nad rozpiętym na podłodze płótnem
nie!
nad skórą
ludzką skórą pomalowaną niczym portret
dobywa z tobołka pędzelek malarski
wodzi farbami po płaskim obliczu
a potem chwyta skórę, strzepuje niczym zakurzony płaszcz i narzuca sobie na kościste
ramiona

Xiao zamrugał. Jeszcze przed momentem widział obmierzłą istotę rodem z
najstraszliwszych opowieści, a teraz...

...stała przed nim Mei.

Bakalarz instynktownie zgarbił się i zamarł. Przerażone serce waliło mu jak młotem, po
plecach przebiegały dreszcze, w głowie huczało. Za ścianą słyszał odgłosy poruszania się
bestii w ludzkiej skórze. Drżącą dłonią sięgnął za plecy, do rękojeści miecza.

Ale szelesty nie zbliżały się. Upiór nie dostrzegł chyba podglądacza – albo czekał na
lepszy moment. Xiao uwierzył z całych sił w pierwszą wersję. Odetchnął i opanował nerwy, a
potem ostrożnie przemknął zgarbiony pod oknem. Szum roztrącanej trawy zdawał mu się
głośny jak szum pędzącej w przepaść rzeki, ale powtarzał sobie, że to zwodzą go rozstrojone
zmysły. Szybciej, niż się spodziewał, minął wejście do pawilonu i wciąż pochylony dopadł
drugiego budynku. Wnętrze otuliło go bezpiecznym cieniem.

Ale na jak długo?

Przez głowę przeleciały mu możliwe wyjścia. Ucieczka. Walka. Ucieczka! Ale Li,
dzieci... Uciekać z nimi? Uciekać samemu? Może zasadzić się na upiora i mieczem... Ale
jeśli pierwszy cios...

Odgłos kroków zmroził go do szpiku kości. Idzie! pomyślało mu się. Sięgnął po miecz,
lecz ręka mu zadrżała. Mei była coraz bliżej. Zagryzł wargi, odetchnął, a potem wyszedł jej
naprzeciw.

Nie uśmiechała się.

Powiedz coś! no powiedz! ponaglił samego siebie.

– Dobrze, że jesteś – wyrzucił z siebie, wymuszając na zdrętwiałej twarzy uśmiech. – Li
traci zmysły, trzeba się nią zaopiekować. Zanim nie wróci jej rozum, nie zdołamy się stąd
wydostać. Ktoś musi się nią zaopiekować, a skoro to kobieta, pomyślałem o tobie. Zrobisz to?
Nikt lepiej od ciebie tego nie robi. Ja zajmę się dziećmi. To co, zaopiekujesz się nią?

Zamknij się już! nakazał sobie, gryząc się w język. Oby tylko wzięła moje nagłe
gadulstwo za oznakę wstydu po tamtych wyzwiskach, myślał, czekając na odpowiedź. Może
ją przeprosić? przyszło mu nagle do głowy, ale nie zdążył przekuć myśli w czyn.

– Dobrze – skinęła głową Mei. Nie rozciągnęła ust w uśmiechu, patrzyła tylko na Xiao
ze smutną powagą. A potem minęła go i znikła we wnętrzu budynku.

Stał dłuższą chwilę bez ruchu. Kiedy wreszcie zmusił się, by przejść parę kroków po
trawie, poczuł, że zaczyna się uspokajać. Przywoływał przed oczy twarz Mei i choć nie
widział pod nią ohydnych rysów upiora, widział rezultat jego działań.

Uśmiech zniknął.

A więc bestia uznała, że niepotrzebnie się naraża, myślał przestraszony i pokrzepiony zarazem. Że ten nienaturalny, nie pasujący do okoliczności grymas wystawiał ją na krytykę, atak, może i demaskację. Więc przemalowała swoją maskę, swój okropny kostium, by nie wzbudzać już podejrzeń.

A to znaczyło, że się boi.

Ale czego? Czy istota, która wydziera ludziom serca i pożera je, może się bać swych ofiar?

Przynajmniej w dzień, pomyślał Xiao. I znów przez głowę przeszła mu zasadzka, cios zadany gdzieś w przejściu, od tyłu... Ale kiedy tylko stanęła mu w pamięci tamta naga upiorna postać i okropieństwa, do jakich była zdolna, odrzucił szalony zamysł. Był bezsilny niczym karp w korycie wyschniętej rzeki.

Pozostawała ucieczka. I to przed nocą, kiedy upiór najpewniej znów zaatakuje. A jeśli, na co wskazywały dotychczasowe ofiary, znów wybierze mężczyznę...

Przeciągnął dłonie po twarzy, ścisnął się za skronie. Uciekać! Mei jest w domu, wystarczy cicho się oddalić, a za murem puścić biegiem do traktu. Kiedy upiór się zorientuje, Li i dzieci będą zgubione, ale...

A może wcale nie? Może we dnie upiór jest bezsilny? Może kobiet w ogóle nie atakuje? Może bakałarzowi uda się zdążyć do miasta i z powrotem przed nocą?

Obejrzał się. Z budynku nikt ku niemu nie wyglądał. Przesząpił kilka kroków po trawie, omijając żwir dróżki, ale znów zamarł, patrząc przed siebie. Widoczne w oddaleniu mury z ziejącym otworem po wrotach kusily. Bardzo. Poczul na całym ciele osobliwe łaskotanie, fizyczną manifestację targających nim emocji. Zostać w tym okropnym miejscu twarzą w twarz z potworem albo uciec między wzgórz, ku gościńcowi i miastu – przed tym wyborem stał.

Znów ruszył, walcząc z pokusą, by już teraz puścić się pędem prosto przez wrota. Uległ jej na jeden moment, jedno mgnienie.

To wystarczyło.

Pierwszy szybszy krok sprawił, że łydka odezwała się zdwojonym bólem. Xiao syknął i usiadł w trawie, by obejrzeć ranę. Oraz pomyśleć.

Omiał nie zostawić Li i jej dzieci na pastwę upiora. Prawie wmówił sobie, że ich tym nie naraża. A przecież bestia mogła z samej złości zabić kobietę, chłopców zaś... Może kolejny upiorny płaszcz uszyłaby sobie ze skóry Li? A on i tak nie zdołałby uratować swojej. Kuśtykający, na odludziu, nie uszedłby jej szponom. Zginąłby jak podły tchórz.

Gorzej jeszcze – jak głupiec.

– Xiao?

To była ona.

A może on.

Upiór. Upiorzyca.

Odwrócił się, dokładając starań, by mieć w oczach tylko zwykłe zaciekawienie.

Stała w drzwiach, mierząc go smutnym wzrokiem.

– Miałaś zająć się dziećmi?

– Rana mi się otwarła – powiedział, próbując nadać głosowi bolesny ton. – Jak tam Li?

– Siedzi nad mężem.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Bakałarzowi przez mgnienie zdało się, że w białkach oczu Mei dostrzega mleczone źrenice upiora. Poczul, że na twarz wbrew woli wypelza mu grymas strachu. W porę jęknął i obrócił się z powrotem, chwytając za nogę.

– Sama widzisz – zawołał za siebie, zaciskając powieki.

Nie odpowiedziała. Ale ona nie zawsze odpowiada, pocieszył się. Tylko jak się jej pozbyć? Jak zapewnić sobie chwilę na wymyślenie jakiegoś planu?

– Mei, wiesz – rzucił, by zyskać na czasie, i z trudem ją się podnosić – źle ze mną. Muszę odpocząć, pospać. Inaczej w nocy nie będę w stanie czuwać ani nas bronić.

Wyprostował się, opierając na zdrowej nodze, i ze ściągniętą twarzą popatrzył na Mei. Odwzajemniła spojrzenie. Dotąd nie sprawiała wrażenia szczególnie mądrej, myślał gorączkowo. Jeśli to nie jest tylko gra...

– Dobrze – skinęła głową.

– Położę się w jakiejś sali na uboczu. Zajmij się dziećmi, proszę. Niech nikt mnie nie budzi do wieczora – dodał i niepewnym krokiem zaczął zmierzać do pawilonu.

Mei znów skinęła głową, odwróciła się i znikła w mroku budynku.

Jeśli połknęła ten haczyk, musi być idiotką nie tylko pozornie, pomyślał. Ale na razie wyglądało na to, że jakimś cudem zyskał dość czasu, by przynajmniej spróbować przedrzeć się do ludzi i wrócić z odsieczą, nim bestia odkryje mistyfikację.

Spowił go cień wnętrza pawilonu. Powolnym krokiem kaleki jął sunąć na drugi koniec budynku. Po drodze wziął z salki, gdzie poprzednio spał u boku Mei, zawieszony koc. Szurając nogami, wszedł do zimnego i ciemnego pokoiku od północnej strony, po kątach którego wałało się więcej śmieci niż gdzie indziej. Bakalarz przyjrzał się okiennej kratownicy i zaklął. Okna chyba nikt tu nigdy nie otwierał; zarosło gęstwą brudu i pajęczyn. Jeśli spróbować je otworzyć, niechybnie trzaśnie i zaskrzypi. A wtedy Mei może nabrać podejrzeń.

Chwilę nasłuchiwał. Doleciały go głosiki niczego nieświadomych chłopców, bawiących się w kuchni niedaleko sali, gdzie ich oszalałą po śmierci męża matką opiekował się upiorny morderca. Znów zdjął go strach. Zrazu chciał przenieść się do innej sali, ale przypomniał sobie, że tam też stare, wypaczone kratownice stawiają opór i skrzypią. Tędy się nie da, tędy się nie da, powtarzał sobie, aż pogodził się z prawdą.

Musiał wyjść głównym wyjściem.

Opanował się, zebrał po kątach śmieci i rzucił je na strzęp maty w najciemniejszy kąt. Potem uformował nieregularny wał i przykrył kocem. Przy dobrej woli i kiepskich oczach kształt można było wziąć za sylwetkę leżącego człowieka.

Teraz nadeszła najgorsza chwila. Zaciśnął pięści i powieki, próbując uspokoić łomoczące serce. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzał sobie. Nie pomogło, ale musiał wreszcie coś zrobić.

Wyrzał na zewnątrz. Widział stąd pod kątem salę, gdzie spał poprzednio, salę Zhanga, kuchnię, a najdalej doraźną kostnicę. Gdyby tylko nie powyrywano drzwi, zazgrzytał zębami. A potem postawił pierwszy krok.

Kamiennej podłodze mógł zaufać, ale leżącym tu i ówdzie źdźbłom trawy, liściom czy resztkom mat już nie. Teraz przypomniał sobie o kamyczkach, które rozsypywał z dziećmi po podłodze, by nikt nie mógł zakraść się niepostrzeżenie. Jeden chrzęst, jeden zgrzyt, a upiór wyjdzie na korytarz i spyta, co Xiao tu robi i czemu się skrada. Powiem, że szedłem sprawdzić, co u Li, i nie chciałem jej przestraszyć, pomyślał. Ale wiedział, że będzie potrzebował całej siły woli, by wypaść przekonująco. A jeśli dzieci znudzą się siedzeniem w kuchni i postanowią pobawić się na trawie? Jak przejdzie obok niezauważony?

Wzrokiem przeskakiwał wciąż z zaśmieconej posadzki na otwór wejściowy sali, w której w każdej chwili mogła ukazać się Mei. Sięgnął dłonią za plecy i przygotował się do wyciągnięcia miecza. Rana nogi powinna starczyć za wytłumaczenie jego dziwnego kroku, ale jeśli nie...

Minął swą dawną salę i wstąpił w obszar, gdzie leżały już pojedyncze kamyczki. Tu musiał stąpać na palcach; lewa łydka zaczęła rwać jeszcze mocniej. Nagle poczuł, jak po skórze ścieka mu krew. Oblał go zimny pot. Oczyma wyobraźni ujrzał czerwien znaczącą jego szlak. Wtedy na nic podstęp z kocem. Co robić? pomyślał rozpaczliwie. Przyśpieszyć? Niemożliwe! Wrócić?

Postąpił kolejny drżący krok naprzód. Z boku otworzyła się sala Zhanga. Wejść, wytrzeć krew, pomyślał i jednym niebezpiecznie a boleśnie długim krokiem wszedł do środka.

I natychmiast przestał myśleć o zranionej łydce.

Okno w sali było otwarte.

Tylko chwilę stał bez ruchu. Potem najszybciej, jak tylko się dało, przysunął się do okna i wyrzwał na zewnątrz.

Wystarczy przełożyć nogę, by postawić ją na drewnianym podeście.

Właśnie – drewnianym.

– Stare, zeschnięte, skrzypiące cholerstwo – bezgłośnie poruszył ustami. Myślał roztrzęsiony, jak się wydostać, ale zarazem o tym, że w każdej chwili, może nawet teraz, do sali zajrzy Mei. Albo że chłopcy w kuchni tuż obok postanowią wystawić główki na zewnątrz. Klnąc w duchu jak na powódź, przełożył zdrową nogę przez okno, wsparł się rękoma o ramę i zaciskając zęby, postawił stopę na pełnych szpar deskach. Nie skrzypnęły. Powoli zwiększał ciężar, przemieszczając tułów na zewnątrz. Cicho, cichuteńko, zaklinał deskę. Słuchała! Wreszcie oderwał od posadzki lewą nogę i wysunął się z okna. Po chwili z uczuciem lęku i niedowierzania stawiał już na deskach drugą stopę.

Nic.

– Całkiem jeszcze porządne cholerstwo – szepnął do siebie i zrobił krok.

Kiedy stojąc już zdrową nogą na kamieniach dawnego dziedzińca, odrywał stopę od podestu, stało się to, czego się obawiał.

Deska zaskrzypiała.

Zamarł na chwilę, a potem z kłębowskiem najczarniejszych myśli pod czaszką puścił się szybkim krokiem ku przeciwnemu zgliszczo. Byle tam zniknąć, byle nie usłyszała, byle pomyślała, że to chłopcy...

Mijając szerniałą ruinę, czuł się, jak gdyby uchodząc z pożaru wskakiwał w wodę. Obejrzał się jeszcze za siebie, nim zwałisko zasłoniło go na dobre. Z żadnego okna nie patrzyła nań niczyja twarz. Nie miał pewności, czy nie dostrzeżono go przez kratownice, wiedział, że cały fortel niepewny jest niczym stos jajek, ale ulga nie chciała już go opuścić. Chwilę odpoczywał pośród zgliszczy, opierając dłonie na kolanach i oddychając ciężko dusznym powietrzem. A potem spragniony ulgi jeszcze większej podszedł do muru i po spalonych resztkach wspinał się na szczyt.

Pod nieskończonym sinym nawisem chmur rozciągały się bure wzgórza. W oczach bakalarza wyglądały one teraz powabnie niczym dolina kwitnących śliw na krańcu świata, ale wiedział, że krajobraz kryje więcej, niż pokazuje. Biegając w dół ku dróżce, pomimo bólu i strachu nie mógł opędzić się od wiersza, którym pewien starożytny malarz opatrzył swój słynny jesienny pejzaż:

*Szara fala wzgórz
Pod szarą falą chmur
Powietrze rozłąką
Spotkaniem woda*

Z Zhanga niewiele zostało. Obfite ślady krwi, porwane ochłapy ciała i strzępy czarnej materii ciągnęły się na przestrzeni kilkudziesięciu kroków, kończąc jak ucięte nożem na brzegu rzeki. W krzakach na poboczu zaległ porzucony tobołek.

A więc jednak zabija w dzień, pomyślał Xiao, oblizując spierzchnięte wargi. Przypomniał sobie ubłoconą Mei po powrocie z wyprawy do miasta i jej zabarwione palce. Wtedy myślał, że to czerwona glina, ale teraz zrozumiał, że przystosowując swoje ludzkie

odzienie do opowieści o nieudanej przeprawie przez rzekę, upiór musiał wykorzystać także zakrwawioną ziemię.

Czy wydarł mniemanemu mnichowi serce? Bakałarz nie mógł wiedzieć tego na pewno, ale gdyby tak było, po co upiór masakrowałby człowieka biegnącego zapewne ku mostowi i ratunkowi, zamiast zatrzymać go, rozpruć i zostawić gdzieś w krzakach? Jeśli chciał, by ciało nie przyciągnęło niczyjej uwagi, to czemu zostawił wyraźny krwawy ślad na dróżce? Czy mógł być tak nieostrożny?

A może tak głupi?

Most oczywiście stał na swoim miejscu. Bestia nie musiała przystosowywać go do kłamliwej bajeczki, bo nie był widoczny z rezydencji. Może zresztą nie miała takiej siły.

Nauczony doświadczeniem Xiao przekroczył chwiejną konstrukcję ze zdwojoną ostrożnością; jedna noga bolała go już wystarczająco. Zresztą nawet gdyby chciał się śpieszyć, nie mógłby; marszobieg pośród wzgórz wycieńczył go do cna. Kiedy jednak z ulgą wszedł na trakt, nie dojrzał nigdzie żadnego wozu, żadnego człowieka. Zrazu szedł ku miastu z nadzieją, że wnet usłyszy skrzypienie kół, gwar głosów. Ale czas mijał, duchota wysysała z bakałarza ostatnie siły, a okolica wciąż sprawiała wrażenie wymarłej.

– Niemożliwe! – pojękiwał trochę na głos, trochę do siebie. – Żeby nikt nie zmierzał do miasta! Czy ten wschodni trakt przeklęty jakiś? Czy wszyscy ludzie z okolicy siedzą kamieniem w mieście, gapiąc się na przepiórki?

Przeszedł czy raczej przedreptał chyba połowę dystansu, nim jego uszy wypełnił tętent kopyt. Ktoś nadjeżdżał konno ze wschodu. Odwrócił się i ujrzał dwóch wieśniaków na koniach, wiodących za sobą kilka luzaków. Jadą na targ, pomyślał.

– Hej! Ludzie! – zawołał, unosząc ramiona. – Ludzie! Do miasta mi trzeba, zabierzcie...

Wieśniacy minęli go, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem; w zamian jęli pilnie rozglądać się po okolicy i spięli konie. Kawalkada rychło zniknęła w oddali i kłębach kurzu.

– Rozbójców się boją – sapnął Xiao. – Ciekawe, że taki kawał drogi pokonałem, a na żadnego jeszcze nie trafiłem.

Szedł dalej, co jakiś czas próbując ustalić pozycję słońca na pokrytym grubą oponą chmur niebie. Wciąż jeszcze było dość wcześnie, by zdążyć przed zmrokiem z odsieczą dla Li i jej dzieci. Ale musiał się śpieszyć.

Skrzypienie wozu pomieszało w duszy bakałarza nadzieję z obawą. Przystanął i odwrócił się, wypatrując pojazdu. Była to dwukółka z niewielkim ładunkiem warzyw, zaprzężona w bawołu. Na koźle siedział mężczyzna w wieku więcej niż średnim, odziany w wieśniacze spodnie i koszulę. Jedzie niewiele szybciej, niż ja idę, pomyślał kwaśno Xiao, ale uniósł rękę.

– Hej, dobry człowieku! Zabierzesz mnie do miasta?

Wieśniak popatrzył przeciągle na piechura, a potem kiwnął głową.

– Właż.

Zwolnił; bakałarz z ulgą wdrapał się na wóz. Przez resztę drogi rozmyślał tylko o tym, u kogo szukać pomocy, co powiedzieć w jamenie, jak ująć okropną sytuację w dostojne słowa.

Wieśniak wysadził pasażera na targu warzywnym pod murami. Ledwo Xiao przekroczył Bramę Wschodnią, wyczuł w powietrzu zapach dartego pierza i usłyszał krzyk szczutych na siebie przepiórek. Targ rozciągał się po obu stronach bramy, sięgając aż po półkoliste mostki na brudnym kanale opływającym mury od wewnątrz. Samymi przepiórkami człek nie żyje, zwłaszcza że zamiast leżeć upieczone na stole, podfruwają walcząc na ulicach; zatroskane o żołądki mężów – miłośników ptasich walk – kobiety tłoczyły się między straganami z wszelką jarzyną. Także pośród handlujących prawie nie widziało się mężczyzn. Tylko jakiś starzec, któremu już nie przepiórki były w głowie, handlował pieczonymi wróblami na patyku, zrzędliwym głosem zachwalając towar.

Xiao wygrzebał parę miedziaków i w kilku kęsach zaspokoił wyposzczony żołądek. Idąc możliwie szybkim krokiem, natykał się raz po raz na przepiórcze pojedynki rozgrywane pokątnie w zaułkach. Nie wszystkich stać było na wpisowe do oficjalnego turnieju na wydzielonym obszarze; inni z jakichś względów woleli nie leżeć władzy w oczy. Tutaj też można było szybko zarobić lub stracić, ale i ryzyko zarobienia nożem oraz utraty wygranej, a nawet życia było bez porównania większe.

Nie musiał wypytywać o drogę, by bez kłopotu wypatrzeć granatowe dachy jameny. Zbliżając się do wyniosłej bramy zwalniał bezwiednie kroku. Nie znają mnie, nie mogą wiedzieć o tym, co wydarzyło się w Jiangcheng, powtarzał sobie w myślach. O upiorze ani słowa, tylko o morderstwach, tylko o morderstwach... Odzyskał spokój dopiero gdy uderzony jego drżącą ręką dzwon przy bramie ogłosił wszem wobec doniesienie o nowej zbrodni. Xiao odetchnął. Wiedział przecież doskonale, jak się zachować przed sędzią, co powiedzieć, na co się powołać. Wprawdzie od czasów jego pracy w hengshańskim jamenie minęło dużo burzliwego czasu, ale wciąż nosił w sobie doświadczenia tamtego dawnego pisarza sądowego.

Brama zgrzytnęła, w furtce ukazał się strażnik w mundurowym chałacie i z pałką.

– Z czym przychodzisz – rzucił sucho, mierząc intruza niechętnym spojrzeniem.

– Ja, człek ze wszech miar marny i bezwartościowy, wiem o dwóch okrutnych morderstwach. Jeśli zbrodniarz nie zostanie ukarany, będą następne. Tylko światły i sprawiedliwy sędzia jest władny ukrócić zbrodnie i zaprowadzić ład. Nie wątpię, że go tutaj znajdzie.

Twarz mężczyzny przybrała nieokreślony wyraz.

– Morderstwa, powiadasz – mruknął kwaśno i gestem kazał Xiao wejść.

Dziedziniec miał kształt kwadratu z trzech stron ograniczonego fasadami jednopiętrowych budynków. Strażnik zaprowadził bakałarza do siedzących w kącie kolegów.

– Przypilnować go.

Kiedy zniknął w jednym z budynków, Xiao znów poczuł napięcie. Wolałby od razu zostać zaprowadzony do sędziego. Od tego, w jaki sposób strażnik zreferuje sprawę przełożonym, zależeć będzie, czy się nią zajmą. A biorąc pod uwagę, że strażnicy woleli zbijać baki w jamenie, niż szukać przestępców po mieście, można było mieć obawy, czy relacja zachęci kogokolwiek do podjęcia przepisanych prawem kroków.

Długonogie osy, zabłąkane pośród jałowych drewnianych budynków, krążyły rozeźlone wokół strażników. Ich złowróżbne, to dalsze, to bliższe brzęczenie w połączeniu z niepewnością oczekiwania na decyzję sędziego sprawiło, że spokój opuścił bakałarza, ustępując miejsca zdenerwowaniu. Co on mu powie, co on powie? myślał gorączkowo. Kiedy jedna z os przymierzyła się do lądowania na karku Xiao, szarpnął się i gniewnym ruchem stracił owada.

– Spokojnie! – Najbliższy strażnik położył mu ciężką łapę na ramieniu. Bakałarz zmierzył go zdumionym wzrokiem. Wredne typy, pomyślał i spróbował skupić się na układaniu w głowie relacji dla sędziego. Nie zdążył jednak; z budynku wyszedł strażnik i szybkim krokiem ruszył ku Xiao.

– Masz szczęście – mruknął. – Gdyby sędzia Di nie wyszedł już na turniej przepiórek, kazałby obić cię kijem. Podsędek Qi kazał tylko wykopać cię za bramę.

Bakałarz nawet się nie obejrzał, gdy schwyliły go brutalne ręce. Stłumił w sobie instynktowny protest, nie szarpał się; wiedział, że tylko pogorszyłby sprawę. Kiedy furtka otwarła się przed nim, zacisnął zęby.

Kopniak nie był nawet tak mocny; dotkliwsze były kamienne płyty, na które padł nadgorliwy świadek morderstwa.

– Nie wolno zakłócać spokoju Cesarstwa! – Strażnik rzucił na odchodne wyświechtaną maksymę i zamknął bramę.

Ku bakałarzowi nie wyciągnęła się żadna pomocna dłoń, nikt nań nawet nie spojrział. Lepiej było nie okazywać życzliwości człowiekowi wyrzuconemu przez władze na zbity pysk. Bakałarz dłuższą chwilę zbierał się z ulicy. W głowie miał mętlik. Wprawdzie zamierzył był sobie, że w razie niepowodzenia w jamenie poszuka pomocy w klasztorze, ale dotąd traktował mnichów tylko jako ostatnią deskę ratunku. Teraz stali się nagle jego jedyną szansą. Musiał zapomnieć o wypadkach w jamenie i szybko wymyślić, jak przekonać przeora, by wysłał za miasto dwóch mnichów znajdujących się na czarach. Tylko gdzie znaleźć właściwy klasztor?

Świątyn w mieście było kilka, ale jak Xiao przekonał się po wyczerpującym marszu, kiwali się w nich tylko mnisi Ocknięcia, łysi głupcy, nie mający o czarach żadnego pojęcia. Nie szukał złodziejskich odprawiaczy ceremonii pogrzebowych ani lubieżnych okadzaczy nowych domostw. Zawsze darzył kapłanów Ocknięcia mniejszą estymą niż kapłanów Drogi, a teraz, pamiętając postać Nieśmiertelnego z Klasztoru Smoczycy Wrót, aż się wzdrygnął. Klasztoru Drogi jednak nie znalazł; nie dlatego, że nie szukał dość dobrze, tylko dlatego, że takowy leżał za miastem.

– Daleko on? – pytał nerwowo bakałarz odźwiernego jednej ze świątyn, który wspaniałomyślnie wspominał mu o siedzibie konkurencji.

– O, panie, wiele li na północ od miasta, w głębokich jarach pośród Gór Uniesionych Brwi, gdzie nawet słońce nie dociera... – machnął ręką mężczyzna.

Xiao potwierdził tę złą wieść u kilku przechodniów, wyrwanych z niepowstrzymanego strumienia tłumu. Zrobiło mu się mdło. W zgłiszczach posiadłości na pomoc czekała kobieta i dzieci. A pomocy nie było.

Był tylko bakałarz.

Wróć i zaatakuj upiora zniecka, pomyślał, bezwiednie chwytając rękojeść miecza. Jeśli będę miał szczęście, zginie. Jeśli nie, zginę ja, ale przynajmniej poranię bestię, przynajmniej dam szansę...

Otrząsnął się. Wyobraził sobie, że czai się na Mei, że czeka w ciemnej sali, za jakimś rogiem, że słyszy jej kroki, że unosi miecz, że...

Nie, to było niewykonalne. Może gdyby wciąż tam był, gdyby nie uciekł, zdołałby zebrać się w sobie, choćby w trosce o własne życie. Ale teraz ta sama troska sprawiała, że nie potrafił się przemóc. Myśl, że miałby z własnej woli wrócić w tamte wzgórza, wkroczyć w obręb murów, gdzie oczekiwać go mogła Mei z brudnym kocem w szponiastej ręce, była zbyt straszna. Skulił się w sobie. Nie, nie wróć, szepnął. Nie wróć. Nie wróć!

Stał, potrącany przez przechodniów, i walczył z samym sobą. Ale w tym starciu siły były nierówne. Teraz szczerze mówił sobie to, co dotąd upychał w głębi serca, na samym dnie duszy. Że uciekł nie po to, by sprowadzić pomoc. Uciekł po to, by uciec. Nic więcej. Był tylko płochliwym zwierzątkiem w ludzkiej skórze, które instynktownie rzuca się do ucieczki, gdy zagrożenie staje się zbyt wielkie. Już kiedy posyłał do miasta Mei – wtedy jeszcze w jego oczach zwykłą dziewczynę – wiedział, że zadanie nie będzie łatwe. A mimo to zdołał sam siebie oszukać i w jamenie prawie uwierzył, że pomoc jest na wyciągnięcie ręki.

Ale to nigdy nie była prawda.

Udało mu się uciec, i to uciec z czystym sumieniem, bo w przekonaniu, że wróci z odsieczą. Teraz fałsz tego przekonania wyszedł na jaw. Był modliszką stojącą na drodze pędzącego powozu, która w mówiła sobie, że potrafi go zatrzymać, tylko po to by wyjść z zarośli. Ale nie chciał, nie mógł zaakceptować, że zostawia Li i chłopców samym sobie – gorzej nawet, że zostawia ich na pastwę upiora. Z tym nie zdoła sobie poradzić, to będzie go długo, może już zawsze, dręczyło. Musiał coś zrobić.

Choćby po to tylko, by zagłuszyć poczucie winy.

Klasztor? Leżał wiele li na północ od Yangyang, a odwieczna mądrość głosi, że odległa woda nie ugasi bliskiego ognia. Jeśli jednak istotnie należał do mnichów Drogi, to być może

zdołają pomóc – nawet na odległość. Gdyby zdążył dotrzeć tam przed wieczorem... Wędrownik na piechotę była wykluczona, i to nie tylko ze względu na niezaleconą wciąż łydkę. Trzeba było konia. Xiao nie miał dość pieniędzy, żeby go kupić, ani dość czasu, by zarobić na walkach przepiórek. Pozostawało przekonać kogoś, by pomógł mu udać się do mnichów – albo dokonać kradzieży.

Muszę coś zrobić, myślał, ale nie był w stanie niczego wprowadzić w czyn. Czuł się, jak gdyby świadomość własnej nieudolności pozbawiła go sił, by tę nieudolność przełamać.

Wróć, uświadomił sobie nagle. Nie mogę zrobić nic innego, więc wróć. Nie jestem w stanie, lecz to zrobię.

Ale nadal stał na brzegu rzeki przechodniów, niezdolny, by się w niej zanurzyć, a co dopiero, by przeciwstawić się jej nurtowi.

Wtem z tego nurtu wyłoniła się postać w zlachmanionym chałacie, o skołtunionych włosach, niemytej od dawna twarzy i zdziczałych oczach.

Oczach dziwnie znajomych.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed bakałarzem.

– Ci mnisi nie pomogą – syknął, oblewając twarz Xiao cuchnącą lepką falą. – Nikt nie pomoże. Tylko ty sam, bakałarzu.

Xiao cofnął się instynktownie, ale za plecami miał mur.

– Kim jesteś? – wyjąkał zaskoczony.

– Już się kiedyś na tych ulicach widzieliśmy. Wtedy było za wcześnie, a teraz jest za późno. Prawie za późno.

Bakałarz przypomniał sobie nędzną postać biegnącą pośród tłumu, kiedy pierwszy raz zawitał do miasta. I przypomniał sobie słowa przechodnia: „...ten wariat to niegdyś bogacz i wielki mędrzec... zwierzę w ludzkiej skórze... każdy by zdziczał, gdyby sprzysięgły się przeciw niemu złowrogie moce...”.

– Każdy – powtórzył bezwiednie.

– Chodźmy!

Song Ling nadspodziewanie mocno złapał Xiao za rękę i porwał w tłum. Bakałarz opierał się tylko chwilę. Dał za wygraną nie tylko dlatego, że w nędzarzu wyczuł więcej niż samą fizyczną siłę. Także dlatego, że nagle zrozumiał, iż oto z jego barków zdjęto nieznośne brzemie.

Nie musiał już decydować.

Ani tam wracać.

Kiedy tłum wypluł ich przy Bramie Wschodniej, Xiao zrozumiał, jak bardzo się mylił. Song Ling histerycznymi krzykami i rozdygotanymi gestami wymusił na wyjeżdżającym właśnie z miasta wieśniaku odstąpienie wozu i sam z błyskiem w oku chwycił lejce. Po chwili pędzili już co chabeta wyskoczy gościńcem na wschód.

Sine chmury w górze falowały niczym bure wzgórza w dole.

– Tutaj...

Xiao przystanął, jak gdyby tym jednym słowem mógł usprawiedliwić zwłokę. Zza zakrętu dróżki wyłoniły się zarysy rezydencji. Tym razem zachodzące słońce nie zdołało się przedrzeć przez grubą warstwę chmur, by dramatycznie oświetlić stojące wbrew wszystkiemu mury. Ale coś innego sprawiło, że po plecach bakałarza przeszedł dreszcz.

Jakiś chłód pojawił się w niezmiennie dotąd dusznej atmosferze, jakiś nieodczuwalny z dawna powiew zmierzył trawy i skłębził chmury. Sine niebo coraz szybciej przemieszczało się donikąd, spowijając się samo w siebie i rozpowijając na przemian. W wieczornym powietrzu zawisło oczekiwanie. Może na burzę?

– Idziemy – burknął Song Ling. Nie odwrócił się, nie przystanął nawet, kiedy Xiao machinalnie zatrzymał się na widok murów. Szedł gnany niewiadomą bakałarzowi potrzebą, niestrudzenie i nieustraszenie.

Xiao nie zdołał dotąd wyciągnąć od Song Linga niczego. Nędzarz przedzierzgnięty w przewodnika nie zwracał nań uwagi, pogrążony we własnych myślach. Kiedy zsiadłszy z wozu, przechodzili przez most, bakałarz zawahał się i nie wstąpił na niepewne deski, ale wzrok stojącego na drugim brzegu mężczyzny nie znosił sprzeciwu. To nie była wyłącznie siła woli, to nie była tylko charyzma. Ten cuchnący nędzą człowiek, „niegdyś bogacz i wielki mędrzec”, mógł być wariatem, ale posiadał niezwykłą wiedzę i zdolność wpływania na ludzi. Straciwszy w tamtej chwili wolną wolę, Xiao i teraz bez słowa protestu podjął marsz. Wszystko działo się zbyt szybko, by zdołał wytworzyć mechanizmy obronne przed mocą tego dziwnego człowieka. Człowieka, który niczym przycajonny tygrys, ukryty smok skrywał znacznie więcej, niż zdawało się na pierwszy rzut oka.

Zrujnowana posiadłość była coraz bliżej. Xiao rozglądał się bacznie, wyczekując... sam nie wiedział czego – może widoku biegających po trawie dzieci, może głosu Li, może śladów krwi, może postaci upiora... Przed bramą znów się zatrzymał. Nie mógł się przemóc, by wejść do środka. Świadomość, że jeszcze rano tu przebywał, że spał tu zeszłej nocy, była obca, jakby ze snu, nie z rzeczywistości pochodząca.

A jednak.

Song Ling odwrócił się i zmierzył bakałarza spojrzeniem, które zdawało się przenikać na wskroś.

– Wiem – mruknął. – Ale żeby wybrać młode z leża, trzeba zadrzeć z tygrysią.

To rzekłszy odwrócił się i ruszył śmiało przed siebie, jakby niczego się nie obawiał, jakby wręcz o niczym nie wiedział... Może i tak było? Poza kilkoma enigmatycznymi zdaniem Xiao nie usłyszał przecież odeń nic sensownego. A jeśli ten wariat prowadził ich obu na pewną śmierć?

Ale czy czyhała ona tylko w obrębie murów?

Obejrzał się za siebie. Zewsząd otaczały go zatopione w szarości wieczoru jałowe wzgórza. Z jednej strony niegościnnie pustkowie ciągnęło się po horyzont, z drugiej urywało na murach obojętnego Yangyang. Tu nikt nie mógł stanąć między nim a upiorem, nikt nie mógł wznieść zań miecza w odruchu obrony.

Bakałarz zagryzł zęby i postąpił kilka kroków. Nie stało się nic; z ocalałych pawilonów nikt nie wyszedł, z okien i drzwi nie dobiegł żaden dźwięk. Nawet owady przycupnęły gdzieś, jakby onieśmiałe nowym posmakiem powietrza. Spustoszona posiadłość tchnęła spokojem.

Nie! Inaczej – ona z i o n ę ł a spokojem.

Spokojem śmierci.

Przeszyty dreszczem Xiao chwycił miecz, ale nie zdążył go wyjąć, kiedy Song odwrócił się gwałtownie.

– Jeszcze nie – syknął. – Poczekaj...

W tej jednej chwili ostatnie wątpliwości opuściły bakałarza. W szalonych oczach mężczyzny ujrzął przytomność umysłu nieosiągalną dla wielu normalnych ludzi. On wiedział, po co tu przyszli. I wiedział, co należy zrobić.

Szkoda, że nie chciał się tą wiedzą podzielić.

Ruszyli razem w głąb posiadłości, ku czarnym pawilonom. W zastygłej scenarii poruszali się jedynie oni dwaj, a tylko Song działał ze świadomością celu – bakałarz wyłącznie go naśladował.

Nędzarz się zatrzymał.

– Wyjmij miecz – mruknął, wskazując mroczne wnętrze głównego pawilonu. – Wejdz do środka. I wyprowadź ją.

Xiao chciał prychnąć, ale dźwięk uwiązał mu w gardle, kiedy spojrzał w oczy Song Linga.

Już wiedział, w czyich źrenicach mają osobliwy odpowiednik.

Już wiedział, czemu oczy Mei zdały mu się dziwnie znajome.

Jeszcze nie wiedział, co to znaczy. Ale dobył miecza i smagnął nim drżące powietrze. Klinga zeszywniała, bakałarz postąpił przed siebie, w ciemność porzuconego pawilonu.

Nie zdążył. Błada jak zjawa postać dziewczyny wyłoniła się z mrocznego wnętrza na przednocną szarówkę niczym zwłoki topielca z czarnych głębi rzecznych. Jej nieruchoma twarz wciąż nosiła tamten sztucznie wymalowany wyraz powagi, który teraz nabrał złowieszczonego, a może tragicznego tonu.

Xiao cofnął się, zastawiając się mieczem. Ale nie musiał. Dziewczyna wyminęła go, jakby był niczym więcej niż drzewem czy meblem, i ruszyła prosto na Song Linga. Zatrzymała się dwa kroki przed mężczyzną. Tylko chwilę stali oboje w bezruchu. Potem Mei wyciągnęła ramiona i chwyciła się za kark. Ujęte szczupłymi palcami ciało jęło się rozstępować. Coś zadrżało w powietrzu, jakiś cień przemknął przez dziedziniec i oto malowana skóra opadła na ziemię niczym wzgardzona szata, a cienkie żyłaste ręce pomknęły ku twarzy Song Linga.

Bakałarz nie zdążył nawet spać się w sobie. Za to Song szarpnął się i o włos uniknął czarnych szponów; zaklekotały sucho same o siebie. Upiór patrzył, jak mężczyzna pada z jękiem na plecy. Xiao myślał, że Song zaraz zacznie się wić, odczołgując byle dalej od bestii, która rzuci się nań i zamorduje. Tymczasem tylko odwzajemnił spojrzenie znieruchomiałego upiora. Długo nie działo się nic. A potem bakałarz usłyszał wycharczane słowa:

– Zabij ją teraz!

Z niedowierzaniem podszedł do obu postaci. I dopiero wtedy zrozumiał, że to, co brał za bezruch, jest w istocie starciem nadludzkich sił, śmiertelnym pojedyńkiem na wzrok.

Wzrok bliźniaczych par oczu.

– Teraz! – wysapał Song. W narastającym mroku Xiao ujrzał, że twarz mężczyzny drży i spływa potem.

Wzniósł miecz, mierząc w cienki kark upiora. Ale nie był w stanie wyprowadzić ciosu. W ohydny profilu zielonego oblicza dojrzał straszliwą karykaturę rysów Mei.

I Song Linga.

– Teraz!! – zawył mędrzec i naraz zwiotczał, jak gdyby rażony niewidzialnym orężem. Zakłęcie, jakim trzymał upiora na uwięzi, przysło. Spomiędzy trójkątnych zębów dobył się chrapliwy syk, mleczne oczy zwróciły się w stronę bakałarza. Zbrojne ramię Xiao opadło z impetem, gdy szponiasta ręka bestii wznosiła się, by rozplatać mu twarz. Szabliste pazury szczęknęły o klingę, która z ludzkim nieledwie jękiem straciła sztywność i w jedno mgnienie oka zmieniła się w niegroźną wiotką spiralę. Bakałarz machinalnie odskoczył i machnął rozpaczliwie mieczem. Ostrze na powrót zeszywniało – w samą porę, by osłonić cofającego się bakałarza przed furią nacierającej bezlitośnie bestii. Przerażony, chwilę bronił się desperacko, wiedziony bardziej instynktem, niż świadomością. Pod jego chaotycznymi cięciami czarne szpony zgrzytały i pękały, ale nie przestawały przerywać powietrza ze złowrogim świstem. Wtem ostrze znów pod złym kątem trafiło o pazur i zwinęło się z jękiem. Tego Xiao już nie wytrzymał. Smagnął upiora na chybił trafił zwiotczającą klingą i obróciwszy się, pomknął ku zabudowaniom.

Każdy ułamek chwili tego biegu wypełniała obawa, nie, pewność, że zaraz, już, teraz poczuje krwawy ogień rozdzierający mu plecy i runie w agonii na ziemię. Ale kiedy wpadł do budynku i sali Zhanga, by przez otwarte na oścież okno uciekać jeszcze dalej, uprzytomnił sobie, że nie słyszy pościgu. Ruchem drżącej dłoni wyprostował miecz i odwrócił się ze ściśniętym gardłem.

Pusto.

Mdląca ulga trwała jedno uderzenie zawrotnie bijącego serca. Przecież upiór wciąż tam był, przecież nie zginął za sprawą tych kilku odciętych pazurów. Było tylko kwestią czasu...

– Bakałarzu!

To krzyczał Song Ling.

Wystarczyło. Xiao nie zastanawiał się, nie rozważał, jakie ryzyko podejmuje. Gdyby pomocy wzywał ktoś inny... Ale wzywał jej Song Ling. Bakałarz zerwał się i wybiegł z budynku.

Ujrzał, jak upiór pochyla się nad mędrcom.

Nie było chwili do stracenia.

Strach, gniew, desperacja, a może coś jeszcze innego dodało Xiao sił. W kilku susach pokonał dzielącą go od bestii odległość i wzniósł miecz.

Upiór wyprostował się.

Ale nie zdążył się odwrócić.

Klinga świsnęła i wbiła się w żyłasty kark, grzęznąc w kolczastych kręgach. Szkaradnym ciałem targnęła konwulsja, z gardzieli dobyło się wycie, kończaste zębiska zagryzły się spazmatycznie, rosochate członki zaczęły żyć własnym przedśmiertnym życiem. Trwało to chwilę – nieskończenie długą, wypełnioną przeraźliwym skowytom upiorzycy i takimże strachem bakałarza – ale tylko chwilę. Wnet dogorywający stwór padł na kolana, potem na twarz i nagle rozpadł się niczym miękki metal w ogniu na dziesiątki luźnych kawałków, które drżąc jak krople wody na rozgrzanej płycie obróciły się w proch, podrywany wiatrem w skradającą się zewsząd ciemność.

W zapadłej raptem ciszy Xiao słyszał łomot własnego serca. Wszystko stało się zbyt szybko, zbyt nagle, by zdołał ogarnąć sytuację. Dopiero po dłuższej chwili opanował skołatane nerwy na tyle, by schować miecz i pochylić się nad Songiem.

Mężczyzna był nieprzytomny, klepany po policzkach nie ocknął się. Bakałarz ujął go pod ramiona i zaciągnął do pawilonu. W kuchni obok opróżnionego gara znalazł krzesiwo; iskry jeły obsypywać zimne grudy szerniałego drewna. Równy z ogniem pod garem w drzwiach pojawiły się drobne sylwetki.

Xiao zerwał się na równe nogi, nie bacząc na rwanie ledwo zasklepionej rany. Na śmierć zapomniał o Wangach!

– Gdzie wasza mama? – spytał, klękając obok milczących chłopców.

– Tam – jeden z nich pokazał rączką.

Xiao wstał i wzięwszy z paleniska długą szczapkę, przeszedł do sąsiedniej sali.

Li już nie siedziała nad zwłokami męża. Leżała u ich boku.

Bakałarz poczuł ukłucie strachu, ale kiedy podszedł, stwierdził, że kobieta jest tylko nieprzytomna. Oddech miała ledwo wyczuwalny, skórę zimną i bladą. W świetle pełgającego na końcu szczapki ognia jej twarz zdawała się straszliwie postarzała.

– Nie wychodźcie nigdzie z kuchni – powiedział chłopcom i poszedł w głąb korytarza, ku salce na samym końcu.

Koc nie leżał pod ścianą uformowany w kształt śpiącego człowieka. Ktoś zdjął go i rzucił w przeciwny kąt, a śmieci i maty rozkopał po całej podłodze. Wiedziała, pomyślał i przeszył go dreszcz. A jednak nie zabiła Li ani chłopców.

Czy tylko dlatego, że nie doczekała nocy?

Wtem odgłos kroków kazał mu wrócić. To Song Ling ciężko sapiąc opuszczał kuchnię. Wyglądał, jakby wstał z martwych, ale bez wątplenia był żywy.

– Zaczekaj... – złapał go Xiao. – Powiedz, o co... Co tu się...

– Nie ma o czym gadać – burknął mężczyzna. – Zrobiłeś, co ci kazałem, i zrobiłeś dobrze. Już nikt nigdy przez tę upiorzycę życia pozbawiony nie będzie.

Chciał iść dalej, ale bakałarz zagroził mu drogę.

– Czego jeszcze chcesz! – podniósł głos rozeźlony Song, próbując wyminąć przeszkodę.

– Tu są ofiary – warknął bakałarz. – Trzeba im pomóc...
– A co ja! – zawołał Song, ale nie wrywał się już.
– Tutaj. – Xiao wskazał wejście do sali i gestem płonącej wciąż szczapki zaprosił mężczyznę do wnętrza.

Song wszedł niechętnie. Beznamiętnym spojrzeniem przesunął po Wangu i jego żonie, potem podszedł do kobiety, położył jej dłoń na czole i odwrócił się do Xiao.

– Chodź tu z tym ogniem.

Bakałarz zbliżył się powoli.

– Bliżej. No bliżej, mówię! Teraz opal jej twarz. Opal jej twarz! Ile razy mam powtarzać...

Xiao zagryzł zęby i przeciągnął płomieniem raz i drugi po martwym obliczu. Zaśmierdziały spalone brwi.

– Dość.

Bakałarz podniósł zagiew i w tej chwili ujrzał, jak Li otwiera oczy.

– Dobrze – mruknął Song i wstał. Ale w tym momencie za spodnie chwyciły go kurczowo wątle palce kobiety.

– Mój mąż! Mój mąż! – jęczała żałośnie. – Mój mąż nie żyje!

– Potrafisz go ożywić? – spytał Xiao, patrząc badawczo w nieodgadnione oczy Songa.

Coś jakby gniew mignęło między powiekami, w ustach błysnęły zęby. To był już inny człowiek, nie tamten wariat uganiający się po Yangyang. Co spowodowało w nim tę zmianę? Kim naprawdę był?

– Potrafię – warknął wreszcie – ale to nie będzie łatwe.

Ignorując czepiającą się wciąż jego nóg kobietę, nachylił się nad Wangiem, chwycił jego dłoń i podniósł do ust. Xiao skrzywił się, widząc, jak między zębami ginie mały palec trupa. Wtem rozległ się ohydny chrzęst i ręka zmarłego opadła bezwładnie. Li jęknęła, Xiao poczuł w gardle piekącą gorycz. Song odwrócił się do kobiety i wypluł palec na dłoń. Nie protestowała, kiedy chwycił ją za ramiona, ale kiedy bezceremonialnie wepchnął jej do ust odgryziony kawałek ciała, jęknęła głośno. I krótko, bo ręka Songa zamknęła się na jej wargach. Chwilę trwała szamotanina, podczas której bakałarz nie wiedział: patrzeć biernie czy działać, wybrał więc to pierwsze. A potem Li zemdląła, Song zaś wstał i popatrzył na Xiao ponuro.

– Coś jeszcze?

Nie czekając na potrząśnięcie głową, wyszedł.

Bakałarz stał bez ruchu dopóty, dopóki dopalająca się szczapka nie poparzyła mu palców. Wtedy wybiegł za Songiem. W samą porę, bo mężczyzna ginął już w mroku. Gdyby nie jaśniejszy od okolicznej ciemności cień wleczonej przezeń malowanej skóry, Xiao już by go nie ujrzał.

– Czekaj! – krzyknął. Skóra zatrzymała się, z mroku wyłoniła się twarz Songa.

– Pozwalam wam spędzić tu noc – mruknął. – Ale jutro opuście to miejsce jak najwcześniej.

– Dlaczego? – zawołał Xiao. Z pytań, których niejasne kształty cisnęły mu się na myśl, to było jedynym, jakie potrafił wyartykułować.

– Bo o świcie puszcze wszystko z dymem.

Bakałarz nie pytał o nic więcej. Patrzył, jak sylwetka i ruchy Songa rozplývają się w ciemności, słuchał, jak jego odgłosy giną za murem, a potem zawrócił do pawilonu.

Trafił akurat na chwilę, gdy obaj chłopcy zaczęli przestraszeni pociągać noskami. Wziął z kuchni kolejną szczapkę i zajrzał do Wangów.

To co zobaczył, przeraziło go bardziej niż powrót Mei.

Li stała na czworakach kocio wyprężona nad trupem męża. Jej ciałem targały regularne fale torsji, ale z ust nie dobywało się nic – nawet najcichszy dźwięk. Jeśli ten wariat ją otruł, pomyślał zmartwiały bakałarz, zostawi chłopców na pastwę losu, na mojej głowie...

Wtem z gardła kobiety wydarł się rozpaczliwy jęk. Coś wzbierało w jej żołądku, ale nadaremno rzeziła boleśnie, usiłując się tego pozbyć. Xiao podbiegł, by jej pomóc, by choć ją przytrzymać, ale odegnała natręta wyprężoną ręką. Stał więc tylko z dwójką przerażonych własną ciekawością chłopców za plecami i patrzył, jak ich matka zмага się z torsjami nad rozerwanymi zwłokami męża. Zaraz porzyga się mu do środka, myślał przerażony, ale nie mógł, nie umiał, nie chciał nic zrobić.

Wtem wraz z ohydny rykiem coś wielkiego, ciemnego i połyskującego wycisnęło się z ust Li i wpadło tętniąc w rozwartą klatkę piersiową trupa. W tej samej chwili z krwawej rany podniósł się kłęb pary. Kobieta zadygotała w ostatnim spazmie, a potem drżącymi dłońmi ujęła ciało męża i ścisnęła ze sobą brzegi klatki piersiowej. Para przestała buchać; w zamian jęła tryskać pomiędzy żeber rytmicznymi strużkami.

– Idź – wycharczała Li do Xiao – wyprowadź dzieci.

Bakałarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wycofał się do kuchni, gdzie ułożył chłopców w kącie, własnym ciałem zagradzając im drogę do wyjścia. Długo podsycił ogień, którego groteskowo wesoły trzask zagłuszał odgłosy z sąsiedniej sali. Ale wreszcie zmógł go sen.

Bez snów.

Sylwetka Song Linga odcinała się wyraźnie od potarganego wiatrem chmurnego nieba. Wangowie nie zwrócili nań uwagi: żona podtrzymywała wybladłego, zgarbionego, chwiejącego się, lecz żywego męża, chłopcy szli przodem smagając patykami najeżdżające dróżkę zielsko. Zamykający pochód Xiao widział go jednak doskonale. I powodowany nagłym impulsem ruszył wielkimi krokami przez kołyszące się pod naporem niecierpliwego powietrza trawy.

Mędrzec stał nad niskim kopcem ziemnym – podłużną plamą brązu pośród szarej zieleni. Dłonie miał brudne i zakrwawione, na twarzy wyraz... nie, brak jakiegokolwiek wyrazu, jak gdyby jego oblicze i emocje wypływały pod wpływem żrących przeżyć.

Xiao dłuższą chwilę łamał się sam z sobą. Czuł, że niewłaściwe pytania zostaną zignorowane. Nie wiedział tylko, które z tych zrodzonych w jego głowie o smętnym i słotnym poranku, należą do właściwych. Ale czegoś, czegokolwiek, chciał się dowiedzieć.

– To była twoja córka? Siostra?

Ciche słowa rozwiały się w rozkiełznanych podmuchach zimnego wiatru, lecz drobna zmiana w rysach twarzy Songa wskazywała, że usłyszał i zrozumiał. Nie odpowiedział jednak, nie kiwnął ani nie pokręcił głową. Sprawiał wrażenie, jakby nie widział otoczenia, a tylko jego mentalne odbicie w dawno nie tykanych wspomnieniach.

– Idzie burza – mruknął bakałarz, gdy milczenie się przeciągało. – Ogień...

– To spóźniony kres dawno minionych zdarzeń – przerwał nagle Song, wciąż patrząc w głąb siebie. – Ucieczka nie prowadzi donikąd, przynosi tylko obłęd. Wszystkiemu trzeba stawić czoło. Ja oto stawilem i wreszcie odzyskałem spokój. Ale zbyt późno, bo nie mam go już z kim dzielić.

Spojrzał na grób. W jego obliczu Xiao znów dostrzegł podobieństwo do Mei. A może raczej dziewczyny, w której skórze krył się upiór używający tego imienia.

– Ruszaj w swoją stronę. – Mędrzec obrócił wreszcie na Xiao bezbarwne oczy. – Jeśli czujesz się jak owca zbłąkana na rozdrożu, to na tym przecież polega życie. Jesteś wolny.

Bakałarz zrozumiał, że musi odejść tak, jak przyszedł. Złączył ręce, pochylając głowę w geście szacunku, a potem ruszył w dół po stoku. Rodzina Wang dochodziła już do zbiegu drózek.

Byli kilka pagórków dalej, gdy powietrze poranka zabarwiło się inaczej, a wiatr przywiał woń spalenizny. Odwrócili się i ujrzeni, jak ponad kopulaste wierzchołki wzbija się kolumna tłustego dymu, dżgana od dołu ostrzami płomieni. Wyżej faliste kreski ptaków słaniały się pod natarciem rosnącego w siłę wichru. Nagle niebo rozpruła pierwsza błyskawica; po wzgórzach przetoczył się rumor grzmotu. Wkrótce narastający mrok i zbliżający się szum obwieścił nadejście spóźnionej ulewy.

Kiedy Wangowie z Xiao przekraczali rzekę, wzburzony nurt sięgał już samego pomostu. Brzemienne przez tyle dni chmury zrzuciły mokry ciężar nie z ulgą, lecz z nienawiścią. Wiatr miotał łukami strug coraz gęściej i mocniej; wkrótce lało już bez przestanku. Po zbyt wielu dniach rozłąki niebo z ziemią połączył wreszcie istny wodospad. Pięcioro przemoczonych do suchej nitki ludzi wypatrywało schronienia brodząc po kolana w błocie, które jeszcze wczoraj było suchym pyłem. Ale Xiao pamiętał, że do samego Yangyang droga wiedzie tylko pośród chaszczy i łąk.

Szczęśliwie przez głuszący szum przebiło się skrzywienie osi. Niebawem cała piątka spoczęła pod przeciekającym daszkiem wieśniaczego wozu. Xiao usiadł z tyłu, z braku miejsca wystawiając nogi na zimne ciosy żywiołu, i patrzył w deszcz.

W pewnej chwili zdało mu się, że poprzez zasłonę utkaną z sinych perlistych strug dostrzega odległe błyski płomieni.

Posiadłość na wzgórzach nigdy już nie da bezpiecznego schronienia przygodnym wędrowcom.

Tak jak nigdyś nie dała go swym prawowitym mieszkańcom.